

Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 3/2021
ISSN 2081-4518

W drogę!



- ² **Autostop – podróż za jeden uśmiech** *Agnieszka Lamek-Kochanowska*
- ⁶ **Cyganie, Travellerzy – odmieńcy w trasie** *Barbara Słania*
- ⁹ **Cyfrowi Nomadzi** *Katarzyna Gasparska*
- ¹³ **Dlaczego Airbnb szkodzi nam wszystkim?** *Michał Pytlík*
- ¹⁷ **Barcelona – ofiara turystycznego sztormu** *Igor Budny*
- ¹⁹ **Kolonialne oblicze turystyki** *Adrianna Zipper*
- ²³ **Jezioro Żywieckie zamiast Seszeli, czyli jak podróżować ekologicznie** *Paweł Miech*
- ²⁶ **Mikrowyprawy – czas podróży minimalistycznych** *Adam Konieczny*
- ²⁹ **O turystyce zdrowotnej, czyli las na receptę** *Iwona Gałązka*
- ³⁴ **Odyseja do bycia sobą** *Jan Gębala*
- ³⁷ **Migracja to życie** *Agnieszka Gruszka*
- ⁴¹ **Polskie opiekunki – migrantki ekonomiczne** *Katarzyna Duda*

Numer o podróżach W drogę! wydajemy w momencie, w którym właściwie kończy się sezon wakacyjny. Jaki jest tego powód? Zwykle czekamy na wolne, ciepłe dni, aby wyjechać. Niektórzy skreślają dni do urlopu w kalendarzu, ale podróżować można na wiele sposobów i wcale nie musimy ich odkładać na wakacje. Jesteś już po urlopie, a fundusz wypoczynkowy świeci pustkami? Głowa do góry! To nie oznacza, że musisz czekać na podróżnicze przygody do następnego lata. W „Równości” przeczytasz o kilku innych spojrzeniach na podróż, niekoniecznie odległych i kosztownych. Jeśli jednak masz chwilę przerwy od bycia w drodze, to zacznij od lektury tekstu *Autostop – podróż za jeden uśmiech*. Agnieszka Lamek-Kochanowska, jego autorka, pisząc o historii, potrafi zainspirować!

A może wcale nie jesteś typem wędrowca i wyczekujesz już spokojnych dni pod kocem? Są ludzie, którzy nie przepadają za podróżami, a są tacy, którzy żyją w trasie niemal przez cały czas, np. Irish Travellerzy czy Cyganie (dlaczego używamy wyrazu „Cygan”, dowiedcie się z tekstu Barbary Słani), ale także Cyfrowi Nomadzi. Czy to gen wędrowców? Raczej nie, ale o ich motywacjach przeczytasz w aż dwóch artykułach.

Podróże i turystyka mają też ciemne oblicze. O negatywnych skutkach popularności wynajmu krótkoterminowego znanego jako Airbnb pisze Michał Pytlík. Autor, poza zaletami Airbnb, dostrzega również katastrofalne skutki jego działalności dla wielu z nas. Podobnie jak z Uberem (przeczytasz o nim w poprzednim numerze „Równości” *Byle dojechać*), potrzebne są regulacje prawne, które powoli zostają wprowadzane w innych krajach – dlatego czas w końcu na Polskę! Z kolei Igor Budny opisuje, jak to się stało, że Barcelona została ofiarą własnego sukcesu i co złego niesie za sobą zalanie stolicy Katalonii przez turystów. Przybliży on również rozwiązania, które stopnio-

wo są wprowadzane w najbardziej turystycznych regionach świata. O kolonialnym obliczu turystyki pisze Adrianna Zipper, zaś Paweł Miech porusza temat ekologii w podróży. Planując wycieczki, warto mieć wiedzę, jak możemy zrobić to lepiej. Autorzy i autorki są jednak dalecy od moralizowania; w ich tekstach znajdziecie kilka pomysłów na wędrówki bardziej ekologiczne i etyczne.

Adam Konieczny opowiada o rosnącej popularności mikropodróży, a także dzieli się z nami wymyśloną przez siebie trasą na Śląsku Cieszyńskim (co nie oznacza jednak, że musisz przyjechać na południe kraju znad morza, aby przejść tę trasę). Sprawdź, co kryje się w twojej okolicy – po prostu wyjdź z domu, bo podróż zaczyna się po zamknięciu drzwi. Innym ciekawym trendem jest turystyka zdrowotna. O jej początkach i różnych odmianach pisze Iwona Gałązka w tekście *O turystyce zdrowotnej, czyli las na receptę*. Ciekawe, ile osób po przeczytaniu tego numeru „Równości” wyjdzie z domu, by uspokoić swoje myśli przebywając w najbliższym terenie zielonym – mamy nadzieję, że mnóstwo!

Dużym zaskoczeniem może być tekst Jana Gębali o podróży do bycia sobą. Nie chcemy zbyt wiele zdradzać na wstępie – po prostu go przeczytajcie.

Podróż nie zawsze jest formą rekreacji, a jej przyczyny nie zawsze są przyjemne. W tym numerze dwa teksty traktują o migracji. Agnieszka Gruszka w artykule *Migracja to życie* pisze o niezwykle trudnych przeżyciach osób z doświadczeniem uchodźczym, zaś Katarzyna Duda koncentruje się na *Polskich opiekunkach – migrantkach ekonomicznych*.

Widzimy więc, że tematyka podróży nie jest zarezerwowana wyłącznie na okres wakacyjny. Życzymy więc miłej lektury – nie tylko w drodze!

Katarzyna Gasparska

Agnieszka Lamek-Kochanowska

Autostop – podróż za jeden uśmiech

Życie przy drodze, czy też bycie w drodze, to zjawisko powszechne i znaczące w naszej kulturze. Tych, którzy wędrowali, dawniej nazywano ludźmi gościńca, wędrownymi dziadami czy wagabundami. Autostopowicze to współcześni noma dzi – podróżnicy wyruszający w trasę dla przyjemności, prawie „za darmo” opuszczający dom i wybierający się w świat „bez celu”, „w nieznanie”. Przekształcili podróż w zjawisko kulturowe, czyniąc autostop symbolem wolności, buntu i swobody.

Gdzie szosy biała nić, tam śmiało, bracie, wyjdź / I nie martw się, co będzie potem¹

Pokolenia Polaków czasów powojennych pamiętają ich bardzo dobrze: z plecakami i gitarami, rzadziej z namiotami, stojących na poboczach dróg i machających książeczkami, na okładkach których znajdował się znak drogowy „stop”. To byli autostopowicze, młodzi ludzie korzystający z okazji, ruszający w Polskę na spotkanie przygody.

Fenomen polskiej akcji autostopowej w czasach Polski Ludowej polegał na zorganizowaniu ruchu niezorganizowanego, wręcz spontanicznego. Z jednej strony istniały ubezpieczenia autostopowiczów i książeczka

będąca prawie dowodem osobistym, z drugiej – brak ograniczeń w poruszaniu się. Polska była jedynym krajem w bloku wschodnim, gdzie to zjawisko cieszyło się poparciem władzy. Pewnie dlatego autostopowicze opowiadają, że do każdego kierowcy można było podejść, z każdym porozmawiać, a nawet poprosić o nocleg. Zresztą we wspomnieniach podróżują-

Czasy świetności autostopowiczów przeminęły razem z Polską Ludową

cych w ten sposób przewija się wątek ufności i otwartości wobec zarówno kierowców, jak i innych autostopowiczów. Dzięki zinstytucjonalizowaniu autostopu lęki można było stosunkowo łatwo rozwiewać. Biuro Autostopu zapewniało kierowcom pokrycie strat spowodowanych przez autostopowiczów. Dodatkowo akcję bardzo uważnie monitorowała policja, wtedy zwana milicją.

Nieodłącznym atrybutem każdego autostopowicza była książeczka. Pierwsza została wydana już w 1959 r. Z wyglądu nie wyróżniała się niczym, poza dużym czerwonym kółkiem przypominającym policyjny „lizak”. Książeczki początkowo można było nabyć w wielu miejscach, nawet w kioskach Ruchu; od 1960 r. były dostępne wyłącznie w placówkach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Każda książeczka była imienna, aby w razie nieodpowiedniego zachowania łatwo było zidentyfikować sprawcę, dzięki czemu kierowcy chętniej zabierali podróżujących. Najważniejszą częścią książeczki były strony z kuponami dla

kierowców. Po przejechaniu odpowiedniej odległości autostopowicz wręczał kierowcy kupon z wpisaną liczbą kilometrów, a ten mógł wziąć udział w losowaniu nagród. Nagrodami były akcesoria samochodowe oraz mapy z zaznaczonymi stacjami benzynowymi i serwisowymi, wówczas zwanymi cepeenami (CPN). Raz można było nawet wygrać samochód osobowy mar-

ki Syrena. Z czasem, aby pomóc autostopowiczom znaleźć nocleg, do książeczek zaczęto dołączać kartoniki „Uprzejmy gospodarz”. Osoba wyróżniona przez turystę kuponem mogła go wymienić na nagrody – np. koce czy komplety sztućców.

Dzisiaj autostopowiczów nadal spotykamy na drogach, ale czasy świetności tego sposobu podróżowania przeminęły razem z Polską Ludową. W czasach PRL bycie autostopowiczem postrzegano jako „szpan”, o Akcji Autostop układano piosenki, a nawet kręcono filmy. Utwór *Jedziemy autostopem* w wykonaniu Karin Stanek był muzycznym hitem 1963 r., a serial telewizyjny z 1971 r. *Podróż za jeden uśmiech* znało każde dziecko. Na łamach popularnych periodyków publikowano relacje z podróży autostopem, np. w poczytnym tygodniku „Przekrój” ukazał się tekst pt. *Auto-stop bez pieniędzy po Polsce! czyli jak dwaj studenci krakowscy, Laitl i Sowa, przebyli na gapę 2500 km w 39 samochodach* (nr 660, 49/1957). Reportaż *Szaszkiewiczowa na autostopie* („Przekrój” nr 755, 39/1959) opisywał

autostop z kobiecej perspektywy, ukazując tę formę turystyki pod kątem bezpieczeństwa i wygody podróżowania z dziećmi. Motyw autostopu zagościł nawet w polskim malarstwie dzięki Edwardowi Dwurnikowi, który od 1967 r. tworzył cykl obrazów *Podróże autostopem*, na których można było przyglądać się miastom w Polsce. Krótko mówiąc, w latach 60. XX w. cała Polska oszalała na punkcie autostopu.

Jedziemy autostopem, jedziemy autostopem / Hej, udał się nam dzisiaj wóz ten i jego szofer

Idea zorganizowania w kraju autostopu wyszła „od dołu” – zrodziła się w środowisku studentów i studentek. Redakcje czasopism „Dookoła Świata”, „Sztandar Młodych” i „itd” były zasypywane listami, w których autorzy opisywali swoje podróże po Polsce. Studenci pisali także do milicji i biur ruchu drogowego z prośbami o możliwość prowadzenia legalnej akcji autostopowej. Oddolne działania studentów dały impuls redakcji „Dookoła Świata”, aby patronować tej inicjatywie i ująć ją w ramy organizacyjne. Następnie pieczę nad całą akcją przejęło Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, a więc instytucja państwowa. Z czasem zaś powstał Społeczny Komitet Autostopu – i to od tego momentu można mówić, że Polski Autostop miał uformowany kształt organizacyjny. Postawiono na współpracę dwóch środowisk: mediów i organów państwowych. Potrzebowano tak silnego oparcia, ponieważ Polski Autostop działał na granicy prawa o ruchu drogowym. Główny

Autostop dla niemających pieniędzy był najlepszą formą turystyki i dobrym pomysłem na to, żeby zobaczyć coś innego i poznać ciekawych ludzi

¹ Wszystkie śródtytuły w artykule to fragmenty tekstu piosenki *Jedziemy autostopem* (autorzy: Bogusław Choiński, Jan Galkowski, kompozytor: Mateusz Świącicki, wykonanie: Karin Stanek i Czerwono-Czarni, 1963 r.).

organizator autostopowej akcji książeczkowej Andrzej Piwoński wspomina: *Dzięki naszym działaniom służby ruchu drogowego patrzyły na autostop przez palce.*

Autostop był bezpieczną formą turystyki. Książeczka, a więc najważniejszy dokument autostopowicza, zawierała jego dane osobowe oraz kupony, traktowane jak bilety przejazdowe. Można w niej było znaleźć także praktyczne porady i uwagi oraz regulamin uczestnictwa, a co najważniejsze: każdy jej posiadacz był ubezpieczony. Książeczki były wydawane co roku, zawsze w maju. W 1960 r., najlepszym roku autostopu, wydano ich aż 80 tys. Andrzej Piwoński mówi: *Byliśmy wzorem dla wielu krajów, gdzie autostop nigdy nie był dobrze zorganizowany.*

Wydawać by się mogło, iż instytucjonalne wsparcie tak nieuchwytnego zjawiska jak autostop i objęcie go państwową opieką po prostu go zniszczy. Tak się jednak nie stało. W Polsce instytucjonalizacja pomogła przekształcić turystykę autostopową w ważne społecznie zjawisko. Państwo ułatwiło wybór tego sposobu podróżowania w celach zupełnie odmiennych niż konieczność dotarcia do pracy, szkoły czy lekarza – była to również forma taniego spędzania wolnego czasu, czyli wakacji i urlopu. Akcja ogłaszana była co roku i trwała od 15 maja do 15 września.

Autostop, autostop, wsiadaj, bracie, dalej, hop /Rusza wóz, będzie wiózł, będzie wiózł nas dziś ten wóz

W czasach akcji autostopowej nie zwracało się uwagi na to, że życie przy drodze to nieustający brud

i kurz – tak o podróżowaniu „na stopa” mówi prof. Czesław Robotycki, etnograf, który jako student zjeździł Polskę stopem wzdłuż i wszerz. Wielu młodych ludzi podchodziło do tej formy podróży ideologicznie – wspomina. Po latach porównywano ten zryw do amerykańskiej filozofii „bycia w drodze” i książki Jacka Kerouaca – biblii amerykańskich bitników, którym nie można było odmówić autentycznej kontrkulturowości i buntu wobec

W Polsce Ludowej była jeszcze obecna tradycja goszczenia „człowieka, który jest w drodze”

zastanej rzeczywistości.

Bogusław Laitl, student AGH, którego podróże w latach 50. wywarły decydujący wpływ na podjęcie inicjatywy propagowania autostopu przez pismo „Dookoła Świata”, potwierdzał, że duży wpływ na niego miał sposób podróżowania młodych ludzi w USA. Zaprażył zrealizować amerykański sen na polskich drogach. I udało mu się. Polski Autostop był niezwykłym, wyjątkowym zjawiskiem, który porwał za sobą ludzi. Dzięki niemu w szarzyźnie PRL można było poczuć się po prostu luzniej.

W autobiograficznej książce *Jak zostałem pisarzem* Andrzej Stasiuk pisze:

Zależało nam na wolności. Dlatego tyle spacerowaliśmy. Całe dnie i noce. I jeździliśmy. Całe miesiące. Dopóki nie zrobiło się naprawdę zimno. Ale nawet wtedy próbowaliśmy jak nie stopem, to pociągami bez biletów. W Radomiu zawsze odliczaliśmy ostatnią setkę, chociaż nie miało to żadnego sensu. Jeździliśmy przecież w kółko. Siedemdziesiąty szósty, siedemdziesiąty siódmy...

Jedziemy autostopem, jedziemy autostopem /W ten sposób możesz, bracie, przejechać Europę

Mit autostopu to mit przygody. *Spotykałem wielu ludzi, którzy szczylicili się tym, że jeżdżą bez celu, tam gdzie akurat zmierza kierowca. Na trasie byli tacy, którzy nazywali siebie „królami autostopu” i snuli legendy na temat swych wędrówek – wspomina Czesław Robotycki. Najślynniejszym i najstarszym*

polskim autostopowiczem był Aleksander Melech, który posiadał książeczkę autostopu nr 1 i był gorliwym autostopowiczem od 1959 r. aż do swojej śmierci. W tej formie podróżowania cenił sobie swobodę ruchu, oszczędność oraz fakt, że był to nieskrępowanie grupowy i masowy sposób na spędzanie czasu. W samym tylko 1961 r., mając 78 lat, przejechał autostopem blisko 5700 km.

Autostop dla wielu młodych był niemal odruchem. *Jeździliśmy zawsze po Polsce, nie potrzebowaliśmy paszportów. W ogóle nie interesował nas Zachód. Szukało się przygody. Ustalaliśmy wiochę, do której mieliśmy dotrzeć, kto pierwszy, ten lepszy – tak swoje wyprawy opisuje Andrzej Stasiuk.*

Autostop dla niemających pieniędzy był najlepszą formą turystyki i dobrym pomysłem na to, aby zobaczyć coś innego i poznać ciekawych ludzi. Na pewno traktowano go jak jedną z wielu doświadczeń, które trzeba było przeżyć. *Nie było takiej opcji, żeby ktoś gdzieś kiedyś nie spróbował się*

autostopem przejechać – wspomina stary autostopowicz.

Polski Autostop w założeniu miał umożliwić tanie podróżowanie i poznanie kraju. Był stworzony po to, aby pomóc młodzieży szkolnej i studentom wypełnić czas podczas przerwy wakacyjnej, a osobom mniej zamożnym pozwolić zakosztować przygody. *Przez kilkadziesiąt lat istnienia akcji, dzięki ludziom związanym z Biurem Autostopu, setki tysięcy osób, nie mając pieniędzy, mogło spędzić wakacje i poznać swój kraj – podsumowuje autostopowicz Leszek Sobociński.*

Inicjatywa wspierała rodzącą się w kraju masową turystykę. W książeczce autostopu, oprócz praktycznych wskazówek dotyczących podróżowania i korzystnych miejsc postoju, można było znaleźć spis schronisk PTTK i Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych. Dodatkowo zawierała mapę i propozycje tras krajoznawczych oraz informacje na temat zabytków. Szlaki autostopowiczów w czasach PRL wiodły głównie w Bieszczady, na Mazury i Wybrzeże, ale także w miejscach związane z letnimi festiwalami muzycznymi: do Kołobrzegu, Opola, Zielonej Góry czy Jarocina.

W roku 1964 autostop po raz pierwszy oficjalnie udostępnił cudzoziemcom. Następnie pomysł przeniesiono do innych krajów socjalistycznych, lecz niestety po kilku latach zainteresowanie jego organizacją wygasło. Według Andrzeja Piwońskiego powodem był brak nagród dla kierowców: *Tego nam wszyscy zazdrościli.* Przez pierwszą dekadę trwania akcji liczba autostopowiczów pozostawała na tym samym poziomie, jednak w latach późniejszych

z powodu rosnącej atrakcyjności turystyki zagranicznej nastąpił jej spadek. Duże znaczenie miał też rozwój motoryzacji i wzrost liczby prywatnych samochodów osobowych na drogach. Dlatego po 1989 r. autostop praktycznie zanikł. Ostatnią książeczkę autostopowicza sprzedano w 1994 r.

Obecnie Polski Autostop – zinstytucjonalizowany i tani sposób uprawiania turystyki – całkowicie zamarł. Stworzona dzięki niemu wakacyjna tradycja organizowana jest obecnie w ramach prywatnych usług – tym właśnie jest m.in. podwózka za pieniądze BlaBlaCarem² czy agroturystyka. Po okresie transformacji i wprowadzeniu kapitalistycznej gospodarki w licznych rejonach kraju autostop przejął funkcje zlikwidowanego transportu publicznego. Dla wielu osób, których nie stać na samochód, stał się on koniecznością i działa tylko po to, aby dojechać – tym razem już nie na wakacje, ale do pracy, urzędów, szkoły, szpitala czy nawet sklepu.

Warto przy tym wspomnieć, że w Polsce Ludowej obecna była

² Największy na świecie serwis wspólnych przejazdów dla osób podróżujących na długich dystansach.

jeszcze tradycja goszczenia „człowieka, który jest w drodze”. Turystę traktowano w takich samych kategoriach jak pielgrzyma – należało go nakarmić i przyjąć pod swój dach. Był to wzór kultury odnoszący się do gościnności, obecnie odchodzący do lamusa. Sukces Polskiego Autostopu był związany z tą dawną tradycją, ale nie tylko. Marzenie dwóch studentów o podróżach po polskich bezdrożach się ziściło. Nie dokonaliby tego jednak bez wsparcia instytucji publicznych. Państwo było istotnym ogniwem w tworzeniu architektury wyjątkowego zjawiska, jakim był Polski Autostop. Bez współpracy osób tworzących środowisko studenckie oraz państwa wiele Polek i Polaków po latach wojny nie miałyby szansy wyjechać na wakacje ani cieszyć się życiem i wolnością. ♦

Cytaty pochodzą z książki:

Jakub Czupryński, *Autostop polski. PRL i współczesność*, Korporacja Ha! art, Kraków 2005

Andrzej Stasiuk, *Jak zostałem pisarzem (próba autobiografii intelektualnej)*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016



Il.: Jakub Rydkodym, www.plecakwspomnien.pl, książeczka autostopowa ze zbioru Bogusława Laitla

Barbara Ślania

Cyganie, Travellerzy – odmieńcy w trasie

Romowie i pokrewne grupy pochodzenia indyjskiego, historycznie zbiorczo określane mianem „Cyganów”, kojarzone są jako europejskie społeczności charakteryzujące się nomadycznym stylem życia. Dotyczy to również dużo mniej znanych Irish Travellers, obecnych na Wyspach Brytyjskich. Mówi się, że nomadyczne życie społeczności te mają zapisane w genach. Czy faktycznie tak jest? A może prawda jest bardziej skomplikowana i to czynniki socjoekonomiczne sprawiają, że ciężko im znaleźć miejsce, które będzie ich domem?

„Cyganie”, w innych językach nazywani „Gypsies”, „Zigeuner” czy „Cig ny”, to kontrowersyjne określenie grupy etnicznej, które zostało wyparte w ostatnich dekadach na rzecz pojęcia „Romowie”. Warto jednak zauważyć, iż Romowie stanowią tylko jedną z grup pochodzenia indyjskiego, które dotarły przed setkami lat do Europy, i charakteryzują się odmiennością kulturową, a wśród nich są jeszcze chociażby Kale, Manusze czy niemieccy Sinti. W Wielkiej Brytanii mianem „Gypsies” bardzo często określa się też osoby z grupy Irish Travellerów, o których będzie mowa w dalszej części tekstu.

Jak wynika z badań m.in. Anny Lubeckiej, określenie „Cyganie”

przez samych zainteresowanych bywa traktowane zarówno jako stygmatyzujące, jak i całkowicie akceptowalne. Jerzy Ficowski, prekursor badań nad społecznościami romskimi w Polsce, pisał o „Cyganach na polskich drogach”, a wydawane wspólnie przez jedno ze stowarzyszeń czasopismo „Romano Atmo” nosi polski podtytuł „Cygańska dusza”. Stąd też, ze świadomością ambiwalencji określenia „Cyganie”, autorka będzie się nim posługiwała jako parasolo-

Określenie „Cyganie” przez samych zainteresowanych bywa traktowane zarówno jako stygmatyzujące, jak i całkowicie akceptowalne

wym określeniem mniejszościowych społeczności (historycznie) wędrujących, niezależnie od ich pochodzenia.

Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma?

Powszechnie znany jest romantyczny mit wędrujących Cyganów: kolorowe stroje, śpiewy przy ogniskach, tabory. Kto oglądał *Papusza* Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego, ten kojarzy ów barwny, tajemniczy, zamknięty świat. Ten, który znamy z literatury, filmu, obrazów, ewentualnie wspomnień naszych dziadków i babć. Świat, który przeminął. *Papusza* jest tragiczną historią nie tylko tytułowej bohaterki, ale także śmierci tradycyjnej romskiej kultury opartej na wędrowaniu. Jednym z pobocznych wątków filmu jest prowadzona przez władze PRL w latach 50. akcja osiedleńcza

Cyganów, których nikt wówczas, prócz nich samych, nie nazywał Romami. Choć akcja spotkała się z olbrzymim oporem ze strony Romów, wówczas niepytanych o zdanie, zakończyła ona epokę wędrowni. Ostatnie tabory w Polsce wyjechały na drogi – już tylko sezonowo – latem w latach 80.

Czy to znaczy, że Romowie przestali wędrować? Odpowiedź na to pytanie nie jest ani prosta, ani jednoznaczna. Owszem, dziś nie zobaczymy już cygańskich

kolorowych wozów na szosie, gdyż możemy je obejrzeć jedynie w muzeum etnograficznym. Wyruszający latem z tarnowskiego muzeum Tabor Pamięci jest tylko symbolicznym przypomnieniem dawnych czasów. Nie ma już w Polsce romskich grup wędrownych, pozbawionych stałej siedziby (do czasów powojennych nie wszystkie z nich zresztą wędrowały). Mieszkający w Małopolsce Bergitka Roma w XVIII w. osiedlili się w Karpatach, zamieszkali na obrzeżach wsi, na terenach zalewowych i nad rzekami – tam, gdzie nikt nie żałował nieurodzajnej ziemi z dala od głównej osady. Na takiej ziemi uprawianie roli było trudne, zwłaszcza gdy na spłachetku nieurodzajnego pola mieszkało kilkadziesiąt osób, które nigdy w swojej historii nie były rolnikami.

Dziś Romowie na stałe już nie wędrują, ale wciąż są społecz-

nością bardzo mobilną. Jeżdżą tam, gdzie jest potrzeba chwili, np. na uroczystość rodzinną czy do pracy, lub gdzie jest mieszkanie: dziś Ochotnica, jutro Zabrze, za dwa tygodnie Wałbrzych. Duże, wielopokoleniowe rodziny i silne więzy rodzinne sprawiają, że Rom lub Romni mają dom wszędzie, gdzie są ich pobratymcy. A że praca raz jest, a raz jej nie ma (bo, powiedzmy sobie szczerze, nie jest łatwo znaleźć pracę będąc Romem), to jeździ się po całej Polsce, a czasem i po Europie. Wejście naszego kraju do Unii Europejskiej i otwarcie granic sprawiły, że wielu Romów i Romni zdecydowało się wyemigrować z Polski, Czech czy Słowacji do Anglii. Decydowały o tym nie tylko względy ekonomiczne, choć te były najistotniejsze. W Wielkiej Brytanii łatwiej było znaleźć pracę i mieszkanie od miasta czy gminy, ale ważne było również to, iż na ulicach brytyjskich miast ciemniejszy kolor skóry, inny język czy specyficzny styl ubierania się przestawały stygmatyzować. Łatwiej być Romem w Londynie czy Edynburgu niż

w Nowym Sączu, Koszycach czy pod Bukaresztem. Spora grupa polskich Romów z grupy Bergitka osiedliła się w miejscowości Southend-on-Sea.

Jeśli pamiętamy trudne lata 90., na pewno kojarzymy grupy romskich żebraków z południa Europy – czy to z krajów byłej Jugosławii, czy z Rumunii. Romscy obywatele tej drugiej, korzystając ze swobody podróży w ramach Unii Europejskiej, dziś także przyjeżdżają sporymi grupami do Polski i osiedlają się na obrzeżach wielkich miast, czego przykładem były nieistniejące już koczowiska na Kamieńskim we Wrocławiu czy Osowej w Gdańsku, których mieszkańcy zostali pozwani przez miasta. Liczne grupy romskie z Europy Wschodniej, głównie Rumunii, przybywają również do Francji i Włoch, gdzie osiedlają się na obrzeżach miast i wsi w prowizorycznych domach lub obozowiskach. Zwykle ani w Polsce, ani w krajach zachodnich tacy przybysze nie są witani przychylnie ani przez stałych mieszkańców, ani przez lokalne władze.

Niby osiadli, ale jednak wciąż trochę wędrowcy. Czyżby zatem – patrząc na powyższe przykłady – wędrowanie było wpisane w romskie DNA i społeczność ta nie była zdolna do prowadzenia osiadłego trybu życia? Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, przyjrzyjmy się jeszcze innej, dużo mniej znanej grupie etnicznej Europy.

Irish Travellerzy – mniej znani wędrowcy

Angielskie, niezbyt często już używane określenie „Gypsies” na polski bywa tłumaczone po prostu jako „Cyganie”. Tymczasem okazuje się, że Gypsies to nie tylko Cyganie/Romowie, jakich znamy z Europy Środkowej. Kiedy wpiszemy angielskie słowo w wyszukiwarce grafiki, to oprócz powszechnie znanych nam przedstawień Romów i Romni, tj. czarnowłosych, śniadolicich, zazwyczaj przedstawionych w kontekście folklorystycznym lub jako przykład ubóstwa osób, zobaczymy również rudawych blondynów, często z końmi, ubranych „po cygań-



Il.: wendy CORNUQUET z Pixabay

sku”. Czy to jakiś performance lub przebieranki?

O Irish Travellerach, zwanymi także Pavee, poza Wyspami Brytyjskimi słyszało niewielu. Media brytyjskie, zwłaszcza brukowe, określają ich po prostu jako „Gypsies”, a wielu tłumaczy bezrefleksyjnie „robi z nich” Cyganów, a nawet i Romów, którymi nie są. Obie te grupy łączy wyłącznie styl życia i niski w stosunku do większości status społeczny. Zamieszanie wokół terminu „Gypsies” nie pomaga

Ostatnie tabory w Polsce wyjechały na drogi – już tylko sezonowo – latem w latach 80

i czasem nie wiadomo, kogo autorzy mieli na myśli: Romów czy Travellerów?

Travellerzy, zwani też Podróżnikami Irlandzkimi, to lud pochodzenia irlandzkiego, zamieszkujący głównie Wyspy Brytyjskie. Jego korzenie są tajemnicze i niepewne, a historia tej społeczności, szacowanej na co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób, liczy kilkaset lat. Wśród wielu koncepcji na temat genezy Podróżników najpopularniejsza wiąże ją z czasami podboju Irlandii przez wojska Olivera Cromwella. Inne z kolei widzą w nich potomków celtyckich mieszkańców Brytanii lub też, częściowo, bezdomne ofiary wielkich głodów, jakie nawiedziły Zieloną Wyspę w latach 1741 i 1840.

Status społeczny Travellerów zawsze był niższy niż brytyjskiego społeczeństwa większoścowego. Podobnie jak Romowie, wędrowali oni od miasta do miasta, podejmując się różnych sezonowych zajęć. W podobny sposób wykształcili też własny

język (zwany shelta lub gamon), odrębny styl ubierania się i specyficzną, konserwatywną obyczajowość. Również dziś, poza nielicznymi wyjątkami, funkcjonują oni na obrzeżach społeczeństwa: w młodszym wieku opuszczają szkołę, wcześniej zawierają małżeństwa, mają więcej dzieci, częściej chorują, krócej żyją... Statystycznie, rzecz jasna, ale to wystarczy do stworzenia negatywnych stereotypów rozciągających się na całą społeczność.

Spora część Podróżników prowadzi nie tyle koczowniczy tryb życia, ile cechuje się sporą ruchliwością, zwłaszcza w sezonie letnim, kiedy to licznymi samochodami wyjeżdża poza miejsce stałego zamieszkania. Prawo brytyjskie od 1968 r. gwarantowało Travellerom przestrzeń do obozowania, choć w 1994 r. zniesiony został obowiązek zagwarantowania im takiego miejsca przez władze lokalne. W konsekwencji tego faktu Travellerzy często obozują na obrzeżach miast niezależnie od formy własności gruntu, co prowadzi do konfliktów ze stałymi mieszkańcami miejscowości. Często stają się oni negatywnymi bohaterami artykułów prasy bulwarowej, określane jako hałaśliwi „najeźdźcy” sielskich miast i miasteczek czy barbarzyńcy w vanach i przyczepach zakłócający spokój prawowitym, osiadłym mieszkańcom. Estetyka społeczności, tak jak w przypadku Romów, opisywana bywa jako dziwaczna, kiczowata

i przesadna, a sama społeczność jest często stygmatyzowana.

Kto wędruje, ten nie ma korzeni?

W zależności od naszego nastawienia do Inności albo lubimy romantyczny mit nomadów, albo krytykujemy wędrujących jako podejrzanych, a czasem wręcz nieczystych włóczęgów. Tymczasem, jak pisze dr Michał Garapich, traktowani jako „wieczni wędrowcy” Romowie w takim stereotypie są pozbawieni szansy na posiadanie poczucia przynależności, lokalnego i państwowego patriotyzmu i po prostu na bycie Polakami – skoro wędrują, to znaczy, że nie mają korzeni, „zaraz sobie pojadą”. Tymczasem sami nierzadko zapominamy, że i nasze korzenie często znajdują się daleko od miejsca, w którym aktualnie mieszkamy.

Traktowanie historycznie lub współcześnie nomadycznego trybu życia społeczności „cygań-

Duże, wielopokoleniowe rodziny i silne więzy rodzinne sprawiają, że Rom lub Romni mają dom wszędzie, gdzie są ich pobratymcy

skich” – czy to Romów, Sinty i pokrewnych wywodzących się z subkontynentu indyjskiego, czy Irish Travellerów – jako absolutnie naturalnego, wpisanego w ich istnienie, jest sporym uproszczeniem. Ani Romowie, ani Irish Travellerzy nigdy i nigdzie nie

stworzyli państwa ani nawet w żadnym z istniejących nie stanowili większości. Zazwyczaj też nie byli pożądanymi ani szanowanymi przybyszami, a co najwyżej z łaski pozwalano im na egzystencję na obrzeżach wspólnoty. Historia wszelkich „Cyganów” jest historią społeczności wędrujących, ale nie tyle z własnego wyboru, ile z braku przypisanego im na stałe miejsca. Kolorowe wozy i długie suknie to bardziej teatr, który lubimy brać za rzeczywistość, niż ich życie codzienne. ♦

Bibliografia

Anna Lubecka, *Tożsamość kulturowa Bergitka Roma*, Migracje Polskich „Wędrowców” nr 3 (91) 2019, pismo uczelni UW.
Anna Lubecka, *Tożsamość kulturowa Bergitka Roma*, Kraków 2005.

Katarzyna Gasparska

Cyfrowi nomadzi – konsumenci życia

Określenie „cyfrowi nomadzi” pojawiło się stosunkowo niedawno, a nazywa się tak osoby, które dzięki wykorzystaniu technologii są w stanie wykonywać swoją pracę z niemal każdego miejsca na świecie – tym samym mogą sobie pozwolić na pracę w ciągłej podróży. Co skłania ludzi do porzucenia wygodnego i stabilnego miejsca zamieszkania na rzecz pracy z różnych zakątków Ziemi?

Od kilku lat można zauważyć wzrost popularności pracy zdalnej, a ostatnie wydarzenia

zdecydowanie przyspieszyły proces przejścia wielu osób na taki system pracy, równocześnie jednak spowodowały utrudnienia w swobodnym przemieszczaniu się i zwiększyły potrzebę poczucia stabilności wśród ludzi. W sytuacji zagrożenia życia i zdrowia społecznościom łatwiej godzić się na ograniczenie ich swobód, ale są tacy, u których potrzeba podróży jest silniejsza.

Zdalnie niekoniecznie z „domu”

W Polsce pracę zdalną w szczytowym momencie narodowej kwarantanny wykonywało aż 10% wszystkich pracujących – w niektórych branżach to nawet 70% zespołu. W pracy hybrydowej, łączącej pracę z domu (różnie definiowanego) i z biura/siedziby firmy, upatruje się przyszłości, a to być może spowo-



Il.: Daria Mamont, unsplash.com

duże, że więcej osób zdecyduje się na nomadyczny styl życia. Dom w tym wypadku to pojęcie płynne, chodzi raczej o miejsce, które nie jest siedzibą firmy.

Nomadyzm sam w sobie nie jest niczym nowym, m.in. społeczności pasterskie czy łowieckie to właśnie wędrowcy – protopląści współczesnego nomadyzmu. Tradycyjny nomadyzm nadal funkcjonuje; są to np. Beduini, Tuaregowie i Romowie (o tych ostatnich przeczytasz w artykule Barbary Slani). O współczesnym nomadyzmie mówimy, jeśli motywacją do przemieszczania się jest praca – nomada podróżuje albo za pracą (nie mylić z migracją zarobkową), albo dlatego, że praca mu na to pozwala. Nomadyzm miejski związany jest z rozwojem infrastruktury transportu – dzięki szybkim i stosunkowo tanim środkom komunikacji spotykamy się z nomadami, którzy np. pracują w jednej miejscowości, a studiują w innej albo jeżdżą pomiędzy oddziałami firmy w różnych krajach. Mają kilka, kilkanaście punktów na mapie świata, w których mieszkają kilka, kilkanaście dni w roku.

Współczesny nomadyzm to również nomadyzm cyfrowy – związany z możliwością pracy zdalnej. Jeśli do pracy wystarczy ci np. laptop, to już raczej bez znaczenia jest, czy wykonujesz ją ze swojego domu, czy z wynajętego apartamentu tysiące kilometrów dalej. Dzięki nowym technologiom nomadzi mogą według zupełnie różnych kryteriów wybierać miejsce, w którym chcą być. Może to być egzotyczna wyspa zamiast Warszawy zimą, może to być miejscowość, gdzie koszty utrzymania są zdecydowanie niższe. *Geoarbitrage*

to jeden z wielu plusów nomadycznego stylu życia – pozwala podnieść jakość życia dzięki możliwości przeprowadzki do tańszej lokalizacji. Nie musi to być przeprowadzka do kraju na innym kontynencie; już nawet w Polsce zauważyć można *geoarbitrage* krajowy. Coraz więcej freelancerów, artystów czy osób, których praca związana jest z nowymi mediami, decyduje się na wyprowadzkę z dużych i drogich miast na wieś.

W tym tekście, pisząc o nomadach, mam na myśli zdecydowanie tych współczesnych, cyfrowych. Kiedyś wędrowano za pożywieniem, lepszymi warunkami do upraw,

Cyfrowi nomadzi nie urodzili się w rodzinach nomadów, to ich decyzja, pomysł na życie

dziś motywacją mogą być komfort termiczny i niższe koszty utrzymania, ale przede wszystkim chęć zbierania doświadczeń, poznawania nowych ludzi, ich kultur, pragnienie przeżycia przygody, bycia w ciągłym ruchu.

Wioski nomadów

W raporcie z 2016 r.¹ przygotowanym przez infuture. institute cyfrowi nomadzi zostali zestawieni z tymi tradycyjnymi, co pokazało znaczące różnice. Najważniejsze to te dotyczące przywiązania do korzeni – tradycyjni nomadzi czują silną więź z rodziną, a cyfrowi są wyraźnie „oderwani od korzeni”. Tradycyjnych nomadów charakteryzuje kolektywizm, a cyfrowych

indywidualizm, który jest znamieny dla „naszych czasów”. Współczesny nomada podróżuje sam, co raczej nie dziwi; trudno jest stworzyć dobrze działającą społeczność, kiedy tak mocno skupiamy się na własnych potrzebach. Co ciekawe, w grupie częściej przemieszczają się kobiety, współczesne nomadki, niż mężczyźni i może to być związane z kwestiami bezpieczeństwa. Współcześni nomadzi nie urodzili się w rodzinach nomadów – to ich decyzja, pomysł na życie.

Myśląc o nomadach, mamy przed oczami zwykle młodego mężczyznę, singla, działającego w branży IT, freelancera, który

jest żądny przygód i na pierwszym miejscu wśród wyznawanych wartości stawia wolność. Co jednak mówią o nomadach statystyki? W rzeczywistości nie ma wiarygodnych danych, które byłyby w stanie zobrazować stereotypowego nomadę – w artykule tym korzystam głównie z badania infuture.institute, według którego współcześni nomadzi to osoby stosunkowo młode, w wieku 25–44 lat, a jeśli chodzi o płeć, to żadna nie jest dominująca. Dla respondentów tego badania *najatrakcyjniejszym rodzajem pracy (...) jest samozatrudnienie, prowadzenie własnej działalności i freelancing, a 59% z nich pozostaje w związku*. Wolność, niezależność, poznawanie różnych kultur – to najczęściej wymieniane zalety tego stylu życia. Trzeba przyznać, że nawet dla nie-nomadów

to właśnie one są pociągające. Zestawiając możliwość pracy pod palmami, w dogodnych dla siebie godzinach z pracą od 8:00 do 16:00 w klimatyzowanym (lub, co gorsza, nie) biurze, chyba niewiele osób wybrałoby szarą rzeczywistość. Coś jednak sprawia, że nomadzi są w mniejszości, a my siedzimy w biurach i ukradkiem oglądamy w telefonie zdjęcia z ich wojaży. Wady takiego stylu życia są chyba oczywiste: poczucie samotności i alienacji, brak stabilizacji, brak domu, utrudniony kontakt z bliskimi – nie każdy jest gotów na takie poświęcenie. Marcus Meuer, pomysłodawca konferencji DNX Global, która jest skierowana do współczesnych nomadów, na pytanie, czy cyfrowy nomadyzm będzie zjawiskiem powszechnym w przyszłości, odpowiedział: *To nie jest styl życia dla każdego. Musisz być osobą skupioną i potrafić pracować produktywnie z najpiękniejszych miejsc na świecie, mając cały czas świadomość, że nie jesteś tam turystą. Żyć normalnie, tak jak mieszkaniowiec. Gotować codziennie, dbać o mieszkanie, pracować. Prowadzić zwyczajne życie*. Coraz łatwiej jednak jest znaleźć rady, jak zacząć – od pojedynczych wpisów na blogach po całe serwisy internetowe skierowane do osób zainteresowanych takim sposobem życia. Mało tego, istnieją całe wioski, gdzie jest zorganizowanych wiele udogodnień dla cyfrowych nomadów.

Chiang Mai to miejscowość w Tajlandii nazywana mekką, stolicą cyfrowych nomadów. Wiele osób właśnie tam zaczyna swoją przygodę z nomadyzmem. Konkurencyjne ceny i ciepły klimat sprawiają, że młodzi ludzie decydują się zmienić

swoje dotychczasowe życie i wyjechać do Chiang Mai. Zwykle jednak jest to jeden z wielu przystanków na ich nowej drodze. Facebookowa grupa Chiang Mai Digital Nomads² liczy ponad 34 tys. członkiń oraz członków i ma na celu łączyć ludzi. To miejsce, gdzie cyfrowy nomada może zadać pytanie, poprosić o pomoc czy zainicjować wspólne działanie (indywidualiści potrafią jednak działać kolektywnie). Chiang Mai nie jest jedyną taką miejscowością na świecie. Na stronie nomadlist.com można znaleźć wiele kierunków chętnie obieranych przez cyfrowych nomadów. Kryteria oceny tych lokalizacji wskazują, co liczy się przy wyborze – koszty życia, dostępność internetu, zabawa i bezpieczeństwo. Wśród wymienionych kierunków popularnością cieszą się m.in. Meksyk, Lizbona i Berlin. W tym roku rusza pilotażowy projekt Madeira Digital Nomads³ w miasteczku Ponta do Sol na Maderze. Ma on pomóc miejscowości liczącej 8200 mieszkańców gospodarczym związanym z pandemią. Lokalni drobni przedsiębiorcy mają zyskać na tym, że zostanie tam ściągniętych 100 cyfrowych nomadów, którzy zobowiążą się zamieszkać na wyspie minimum przez miesiąc. Bezpłatne miejsce do pracy, bezpłatny dostęp do internetu, zniżki na noclegi, a także lokalny przewodnik to kilka udogodnień, które są wyłącznie dodatkiem do tego, co oferuje ta piękna wyspa swoim nowym tymczasowym mieszkańcom.

² <https://www.facebook.com/groups/cmnomads> [dostęp: 17.06.2021].

³ <https://digitalnomads.startupmadeira.eu/> [dostęp 17.06.2021].

Więcej życia w życiu

Łatwo jest dać się zwieść wyobrażeniu, że nomadyczny styl życia to kilka godzin pracy pod palmami, z drinkiem w dłoni, kilka zdjęć na Instagram, jedzenie w knajpach i ciągle zwiedzanie. Sporo influencerów próbuje sprzedać taki wizerunek nomadycznego stylu życia. „Sprzedać” to słowo klucz. W internecie roi się od poradników *Jak zacząć*. W rzeczywistości, jeśli chcesz zostać nomadą, musisz być osobą bardzo zdyscyplinowaną, inaczej nie połączysz pracy z podróżami. Nomadyzm to nie typowe *workation* – połączenie *work* (pracy) z *vacation* (wakacjami). To też nie urlop sabatowy (*sabbatical leave*), który wykorzystuje się, kiedy potrzebujesz więcej czasu na regenerację, bo inaczej grozi ci wypalenie. To też nie *gap year* – rok przerwy od studiów, czas, aby się wyszaleć. Jednak wszystkie te terminy z nomadycznym stylem życia coś łączy. To uczucie ekscytacji przed czymś nowym, poczucie wolności i niezależności, to pobudzanie swojej ciekawości świata, to świadomość, że życie nie powinno polegać wyłącznie na zaspokajaniu podstawowych potrzeb, zarabianiu pieniędzy, gromadzeniu dóbr. To czas na swój rozwój, który niekoniecznie da się zmonetyzować. To też wyraz buntu wobec systemu, w którym dążymy do tego, by mieć więcej, lata młodości spędzamy na nauce i pracy za wpis do CV, po to by później spędzać w pracy jeszcze więcej czasu, dalej się szkolić, mieć jeszcze bardziej odpowiedzialne stanowiska itd.

Wciąż jednak warto podkreślić, że nomadyczny styl życia

to również wiele wyrzeczeń, poczucie osamotnienia, a nawet porażki, o których raczej nie przeczytasz w poradnikach *Jak zacząć*. Jakie są jeszcze minusy tego stylu życia? Kilka z nich wskazał Tomek Maciejewski w krótkim wywiadzie dla UniwerekTV⁴. Jeśli pracujesz dla europejskiej firmy, a mieszkasz np. w Ameryce Południowej – licz się z tym, że różnica czasu rozbije twój dzień. Rozmowy ze zleceniodawcą w nocy to dla wielu nomadów codzienność. Każda zmiana tymczasowego miejsca zamieszkania wiąże się z koniecznością znalezienia miejsca do pracy, bo jak się okazuje, cyfrowi nomadzi niekoniecznie chcą pracować tam, gdzie śpią – mimo wszystko zachowują balans pomiędzy życiem a pracą i stawiają granice w postaci różnych miejsc do pracy i do odpoczynku. To pomaga skupić się na pracy. Kolejnym minusem prowadzenia życia wędrowca jest kwestia ubezpieczenia zdrowotnego. Kiedy bohater wywiadu w Tajlandii zachorował na żółtaczkę, dostał wiadomość od ubezpieczyciela, że sam będzie musiał pokryć koszty leczenia – powyżej tysiąca złotych. Stres związany ze zgubieniem dokumentów za granicą jest nieporównywalnie większy, niż gdy stracisz je „u siebie”. Elastyczne godziny pracy często oznaczają, że tak naprawdę cały czas jesteś w pracy. Ponadto ciężko jest utrzymać stałe nawyki – codziennie skupiasz się na tym, gdzie połączysz się z internetem, co i gdzie zjesz, gdzie będziesz spać, musisz się przygotować do kolejnej zmiany lokalizacji. Spalasz w ten sposób wiele

energii, którą ktoś o bardziej stabilnym trybie życia inwestuje w coś innego.

Dla nomadów jednak podróż to więcej życia w życiu. Oni konsumują życie, nie towary. Chociaż ich majątek to trochę elektroniki i plecak, to nie pasuje mi do nich określenie „minimaliści”. *Dla mnie nie ma wątpliwości, że dużo ważniejsze od pieniędzy jest to, by robić coś, co jest interesujące* – mówi Michał Majewski⁵, cyfrowy nomada. Rzeczywiście wędrowcy mają mniej, bo *lepiej mieć fajne doświadczenia niż np. większy telewizor*, ale te doświadczenia również kosztują i wymagają od nich pracy – zaryzykuję nawet stwierdzenie, że są uzależniające. Nomadzi częściej kupują usługi niż produkty, ale nadal są konsumentami i nakręcają PKB, które jest w naszym świecie miarą wszystkiego. Stąd coraz więcej miejscowości widzi w nich ratunek dla lokalnych biznesów w czasach ograniczenia turystyki. Bo, co warto zaznaczyć, podróżowanie, w tym podróże nomadów, jest czymś innym od turystyki, która utowarowia podróż. Nomada to jednak nadal klient linii lotniczej, kawiarni, wypożyczalni samochodów, hotelu (choć częściej Airbnb). *Wydaje mi się, że posiadanie rzeczy to tylko taka nakładka cywilizacyjna, wytwarzana przez kulturę potrzeba. Sądzę, że będziemy dążyć do minimalizmu, a technologia nam w tym pomoże. Dziś ten powrót do mobilności i nomadyzmu to taki trochę powrót do naszych korzeni. My nie potrzebujemy takiej ilości rzeczy*⁶. Być może nomadzi nie potrzebują takiej ilości rzeczy, ale doświadczeń już

tak. Ponadto w kapitalizmie nie ginie, szybko postanowiono wykorzystać tę niszę. Wspólne przestrzenie do pracy zdalnej (*coworking*), wspólne wynajmowanie mieszkań (*coliving*), konferencje, warsztaty, grupy – na tym wszystkim można zarobić, a to ułatwia cyfrowym nomadom życie.

Coworking, coliving, community

Wbrew pozorom cyfrowi nomadzi potrzebują innych ludzi. Przebywanie w grupie pobudza w nich kreatywność, jest lekiem na poczucie odcięcia się od korzeni. W *colivingu* nomadzi z jednej strony mają swoją prywatną przestrzeń, z drugiej jednak części wspólne pozwalają im nawiązać relacje z innymi, często podobnymi do siebie osobami. Biura *coworkingowe* z kolei sprzyjają również poszerzaniu kontaktów biznesowych, wymianie doświadczeń, dają możliwość konsultacji swoich pomysłów.

W przywoływanym raporcie *infuture.institute* uderzająca była wypowiedź Julii Sokolnickiej: *Uważam, że moja tożsamość narodowa jest drugorzędna wobec mojej świadomości zbiorowej wziętej z internetu. Czasami łatwiej jest mi się porozumieć z kimś z drugiej półkuli niż z sąsiadem z naprzeciwka. Dlatego myślę o sobie, że nie jestem z Polski, lecz z internetu*⁷. Cyfrowi nomadzi tworzą społeczność, głównie w sieci. To sieć jest ich domem. Dom ma wiele znaczeń, niekoniecznie chodzi o jakąś konkretną nieruchomość. Jest to przestrzeń, w której dobrze się czujemy i może być to przestrzeń wirtualna. ♦

Michał Pytlík

Dlaczego Airbnb szkodzi nam wszystkim?

Na tanie podróżowanie w największym stopniu składają się niedrogi transport i nocleg w ekonomicznej cenie. O problemach i często pozornych korzyściach związanych z tym pierwszym pisałem w poprzednim numerze „Równości” w kontekście Ubera. Czas przyjrzeć się bliżej drugiemu – taniemu zakwaterowaniu, którego symbolem w ostatnich latach stał się Airbnb.

Co to jest Airbnb?

Najprościej mówiąc, Airbnb jest portalem internetowym, za pośrednictwem którego można wynajmować mieszkania lub pokoje na krótki czas w bardzo przystępnej cenie. Został on założony w Kalifornii w 2008 r. przez trzech Amerykanów: Nathana Blecharczyka, Briana Chesky’ego i Joego Gebbie. Według twórców dzięki ich pomysłowości mali właściciele mieszkań zyskali możliwość dodatkowego zarobku za sprawą posiadanej nieruchomości, zwłaszcza jeśli akurat są w niej nieobecni. Platforma zarabia na prowizji od każdego wynajmu.

Przyczyna popularności Airbnb tkwi w tym samym, co tak bardzo rozświetliło Ubera: w niskiej cenie. Ile Waszym zdaniem mogłaby kosztować noc w historycznym centrum Rzymu? Dzięki Airbnb bez problemu przenocujecie za kwo-

W Barcelonie 10 największych właścicieli lokali wynajmowanych w ramach Airbnb każdego dnia zarabiało łącznie równowartość jednego mieszkania

4 <https://www.youtube.com/watch?v=ulCgr80cH3w> [dostęp: 31.07.2021]

5 *Wędrowcy. Raport o współczesnych nomadach*, op.cit., s. 50.

6 *Ibidem*, s. 58.

7 *Ibidem*, s. 66.

tę 15–20 euro zamiast choćby 60 w trzygwiazdkowym hotelu. Jasne, i tak nie każdego na to stać, ale pamiętajmy, że mówimy nie

Airbnb niesie za sobą dramatyczne skutki, zwłaszcza dla mieszkańców i mieszkanki miast, do których się udajemy

tylko o strefie euro, ale przede wszystkim o ścisłym centrum jednego z najczęściej odwiedzanych miast na świecie – relatywnie jest to zatem cena bardzo niska. Zapewne nie wynajmiemy za nią przestrzennego pokoju z wielkim lustrem i telewizorem na ścianie, wanną z hydromasażem i balkonem z widokiem na Fontana di Trevi, ale to nie najzamożniejsi korzystają z Airbnb, lecz zazwyczaj osoby młode i niebogate, których oczekiwania co do komfortu zakwaterowania zwykle są niższe.

Mamy zatem możliwość łatwego dorobienia do pensji i niską cenę za nocleg dla łakną-

cych podróży, które niewątpliwie są ważną częścią naszego życia. Widać tu oczywistą analogię do tego, jak działał Uber:

właściciele samochodów też mieli zyskać dodatkowy dochód, a podróżujący płacili znacznie mniej niż za taksówkę. Jaki jest więc problem? Czy to źle, że masa młodych ludzi nareszcie może sobie pozwolić na podróż do Barcelony, Rzymu i Paryża, a przestrzeń mieszkaniowa nie marnuje się, gdy nikogo w niej nie ma? A może paru znużonych życiem lewaków znów szuka problemu? Gdyby działalność Airbnb kończyła się w tym miejscu, moglibyśmy jej wystawić laurkę. Niestety rzeczywistość funkcjonowania portalu dalece odbiega od propagandowych wyobrażeń.

Co jest nie tak z Airbnb?

Niska cena dla wynajmującego, dodatkowy dochód dla właściciela nieruchomości – tyle widać na samym dole, gdy robimy lub dostajemy przelew za nocleg. W świetle tak prostej i krótkofalowo korzystnej operacji trudno dostrzec, a tym bardziej przekonać kogoś, że działalność Airbnb niesie za sobą dramatyczne skutki, zwłaszcza dla mieszkańców i mieszkanki miast, do których się udajemy. Kiedy zrozumienie problemu wymaga cierpliwych wyjaśnień i pokazania procesów długofalowych, staje się on zbyt zagmatwany i przegrywa starcie z argumentem niskiej ceny, której pozytywne efekty odczuwamy tu i teraz. Nie mamy więc innego wyjścia niż możliwie wyczerpująco opisać kłopoty, w jakie wpycha nas działalność amerykańskiego portalu.

Większości z nas wciąż wydaje się, że szczęśliwy posiadacz nieruchomości dorabia sobie do emerytury dzięki krótkim wynajmom za pośrednictwem

portalu internetowego. Okazuje się jednak, że w Warszawie aż 25% mieszkań na wynajem znajduje się w rękach zaledwie 1% właścicieli¹. To więcej niż w Wiedniu, Paryżu, Wenecji czy Londynie, a przed Warszawą jest jedynie Barcelona². Co to oznacza? Że podobnie jak Uber stał się poletkiem dla wielkich firm wynajmujących auta w leasingu kierowcom, tak mieszkania Airbnb są wykupywane i wynajmowane przez wielkie firmy, które oferują noclegi w znanych lokalizacjach po niskich cenach. Ogromne pieniądze trafiają niekoniecznie do pojedynczych posiadaczy nieruchomości chcących dożyć spokojnej starości, lecz do kilku superbogactw jednostek. Jak bardzo bogactw? W Barcelonie 10 największych właścicieli lokali wynajmowanych w ramach Airbnb każdego dnia zarabiali łącznie równowartość jednego mieszkania. Innymi słowy: codziennie mogli kupić jeden apartament. Z czym się to wiąże? Przede wszystkim ze zmniejszeniem bazy mieszkaniowej i z wszystkimi tego konsekwencjami.

Turyści po kilku dniach wyjeżdżają, mieszkańcy miast żyją w nich na co dzień. Dla nich rezultat wykupu lokali pod tani wynajem krótkoterminowy jest jeden: znacznie wyższe ceny mieszkań. A te rosną w zabolonym tempie. W Berlinie w przeciągu zaledwie 5 lat czynsze wzrosły o ponad połowę³. Rekordowe ceny odnotowano także

– pomimo okresu pandemii – w Krakowie, Łodzi, Gdańsku i Poznaniu⁴. Nieuchronnie pojawia się pytanie: czy Barcelona, Wenecja i Praga istnieją przede wszystkim dla barcelończyków, weneccjan i prażan, czy dla turystów spędzających w nich kilka dni w roku? Ktoś powie, że turystyka napędza rozwój, bo odwiedzający zostawiają w mieście pieniądze. Jak jednak pogodzić tę myśl z rosnącą ceną za najbardziej podstawowe dobro, jakim jest mieszkanie?

Ktoś inny dopyta: co ma z tym wspólnego Airbnb? Doprecyzujemy: jego rozrastająca się działalność oznacza, że na rynku jest coraz mniej mieszkań na stałe. Kiedy jest ich mniej, oznacza to,

Fajna idea, która miała przynosić korzyści osobom na samym dole, została przejęta i wypaczona przez wielkich graczy

że stają się one dobrem coraz rzadszym, więc wzrasta na nie popyt. A jak wiemy, większy popyt – wyższa cena. Spółdzielnia znowu podwyższyła Wam czynsz? Właściciel przykrym tonem poinformował przez telefon o wzroście opłat? Cena kawalerki skoczyła o 10% w ciągu kilku miesięcy? Sprawdźcie, ile mieszkań wokół Was jest częścią Airbnb i kim są ich właściciele.

A może to bez znaczenia, do kogo wędrują pieniądze, skoro możemy się cieszyć niskimi cenami noclegu w podróży? Być może nie ma nic złego w tym, że najwięcej zyskują już i tak

bogaci, skoro dzięki nim wielu z nas może sobie pozwolić na podróż, na którą w innych warunkach pozwolić by sobie nie mogło?

Jeśli tak, to pomyślmy o piłce nożnej i wydarzeniach z kwietnia 2021 r., kiedy to kilkanaście najbogatszych klubów próbowało stworzyć tzw. Superligę. Czy ogromne pieniądze, które przetaczają się dziś pomiędzy klubami piłkarskimi, powinny prowadzić do izolacji tych kilku najbogatszych od całej reszty? Piłka nożna jest dla wszystkich – dokładnie tak samo, jak mieszkania w mieście. Sytuacja, w której parunastu najbogatszych właścicieli dyktuje warunki na rynku mieszkaniowym,

powodując m.in. drastyczny wzrost cen, jest niebezpieczna i prowadzi do wykluczenia całej rzeszy ludzi tak samo, jak najbogatsze kluby piłkarskie chciały wykluczyć biedniejszą resztę. Różnica jest tylko jedna: Superliga wzbudziła powszechny sprzeciw, podczas gdy skutki funkcjonowania Airbnb trwają w najlepsze.

Nie tylko droższe mieszkania

Fatalne w skutkach efekty działalności Airbnb to historia, która wydarzyła się już wiele razy: fajna idea, która miała przynosić korzyści osobom na samym dole, została przejęta i wypaczona przez wielkich graczy. Tak stało się ze wspomnianą piłką nożną



Il.: Instagram/FOTOGRAFIA z Pixabay

1 Arkadiusz Gruszczynski, *Warszawa prawie jak Barcelona. Wynajem mieszkań dla turystów coraz popularniejszy*, <https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/7,54420,2,4327195,warszawa-prawie-jak-barcelona-wynajem-mieszkan-dla-turystow.html> [dostęp: 14.06.2021].

2 Dane IBS Fundacji Naukowej, https://twitter.com/ibs_thinktank/status/107861860285677952/photo/1 [dostęp: 27.06.2021].

3 *Berlin walczy z Airbnb*, <https://www.bankier.pl/wiadomosc/Berlin-walczy-z-Airbnb-7375365.html> [dostęp: 14.06.2021].

4 Oskar Nawalany, *Ceny mieszkań w największych polskich miastach osiągają rekordowe poziomy*, <https://businessinsider.com.pl/twoje-pieniadze/ceny-mieszkan-w-polsce-rekordowo-drogie-rynek-nieruchomosci/hfy9vypz> [dostęp: 23.06.2021].

(i wieloma innymi dyscyplinami sportu), tak samo jest z Airbnb.

Wzrost ceny mieszkań to najbardziej dotkliwy, ale nie jedyny problem powodowany przez portal. Innym źródłem kłopotów jest umasowienie turystyki, z którym wiąże się np. przeludnienie centrów miast. To świetnie, kiedy na głównym placu ludzie spotykają się ze sobą, mogą wypić kawę, porozmawiać, a w tle towarzyszy im pełne kolorów wydarzenie artystyczne w otwartej przestrzeni. Czymś innym jest jednak miejski zgłok tworzony przez mieszkańców, a czymś innym tworzony przez gości, którzy znaleźli nocleg w ramach Airbnb. Kiedy zwykli mieszkańcy mają dosyć, wyprawiają się poza centrum. Efekt jest taki, że gdy sezon turystyczny się kończy, wcześniej żywe i barwne place stają się martwe, bo nikt w ich pobliżu już nie mieszka.

Zapytajmy raz jeszcze: czy Kraków powinien troszczyć się w większym stopniu o krakowian czy turystów odwiedzających miasto? To pytanie wraca, kiedy przypominamy sobie, że lokale wynajmowane za pośrednictwem Airbnb zwykle sąsiadują z mieszkaniami osób żyjących w mieście na co dzień. Potrzeby odwiedzających i mieszkających są często różne: kiedy młodzi turyści szukają – i słusznie – rywki, mieszkańcy obok mogą w tym czasie pracować zdalnie, opiekować się dzieckiem lub spać po nocnej zmianie. Nie zawsze łatwo dzielić piętro także ze zwykłym sąsiadem, ale z nim przynajmniej można się dogadać. Z lokatorami zmieniającymi się niemal codziennie i mówiącymi w innym języku – niekoniecznie.

Co robić?

Jeśli znudzeni życiem lewacy faktycznie szukają problemów, to przykłady miast na całym świecie pokazują, że znajdują oni również rozwiązania. Problemy generowane przez Airbnb zauważyły już Berlin, Barcelona czy Nowy Jork. Każda z tych metropolii próbuje sobie z nimi radzić na własny sposób, tworząc w ten sposób listę gotowych rozwiązań, które można zaadaptować również do polskich miast. I tak w Barcelonie wprowadzono przepisy nakazujące osobom wynajmującym uzyskanie do tego celu odpowiedniej licencji oraz wprowadzono limit – w centrum jedna osoba może wynająć tylko jedno mieszkanie, bez względu na to, ile ich jeszcze posiada. Na inny pomysł wpadły władze Nowego Jorku: jeśli właściciel nie mieszka w udostępnianym za pośrednictwem Airbnb mieszkaniu, nie może go wynająć na krócej niż 30 dni. Podobne kryterium zastosował Berlin: zgodnie z prawem w stolicy Niemiec można wynająć jedynie pojedynczy pokój w lokalu, w którym mieszka sam właściciel. Rozwiązania te wprowadza obecnie większość niemieckich miast. Znacznie pobłażliwsze wobec Airbnb okazują się miasta Europy Wschodniej, ale one także podejmują pewne działania – władze Pragi postanowiły w bardziej restrykcyjny sposób pobierać opłaty i podatki od hotelarzy oraz właścicieli pensjonatów⁵.

Zaskakującym „sojusznikiem” (którego raczej byśmy sobie nie życzyli) w walce z ekspansją

Airbnb okazała się pandemia COVID-19. Według firmy analitycznej AirDNA we wspomnianej Pradze z Airbnb zniknęła aż połowa mieszkań. Spadek o 47% odnotowały Dublin i Budapeszt, o 39% Londyn, a Barcelona o 35%⁶. Pod wpływem obostrzeń i zaniku turystyki wielu właścicieli nie tylko zrezygnowało z wynajmu, ale duża ich część zmieniła profil na wynajem długoterminowy. Innymi słowy: to, co próbuje uregulować wiele miast, stało się samo. Na ile trwała okaże się ta zmiana, pokaże czas po pandemii.

Rozmowa o Airbnb jest znacznie dłuższa niż jeden artykuł opisujący pokrótce podstawowe problemy generowane przez amerykański portal i podejmowane próby ich naprawienia. Ważne jest w niej to, aby pamiętać, że za grzechy portalu nie odpowiadają ci, którzy z niego korzystają. Z punktu widzenia osoby planującej podróż wybór taniego noclegu jest czymś zupełnie normalnym, tak jak decyzja o zakupie tańszego odkurzacza czy niemarkowych butów. Dopóki nie żyjemy w świecie, w którym zmniejszenie bazy mieszkaniowej i wzrost cen lokali państwo rekompensuje budową tanich mieszkań, a bogate firmy nie przejmują inicjatyw, które mają służyć wszystkim, dopóty nie warto wytykać korzystania z Airbnb ani innym, ani sobie. Tę część energii znacznie lepiej poświęcić na domaganie się odpowiednich regulacji ze strony władz miejskich, w Polsce tak bardzo potrzebnych. ♦

⁵ Kateřina Smejkalová, *Jak zatrzymać wirusa Airbnb – lekcje z Europy (spoiler: oczywiście nie Wschodnie!)*, <https://krytykapolityczna.pl/swiat/ue/airbnb-regulacje-europa-smejkalova> [dostęp: 27.06.2021].

⁶ *Tysiące mieszkań z Airbnb zniknęło z europejskich miast. W Pradze jest ich o połowę mniej*, <https://podroze.gazeta.pl/podroze/7,114158,26872567,15158-mieszkan-z-airbnb-zniknelo-z-europejskich-miast-w-pradze.html> [dostęp: 27.06.2021].

Igor Budny

Barcelona – ofiara turystycznego sztormu

Turystyka staje się coraz ważniejszą częścią naszego życia, w czym pomaga rozwój transportu i technologii informacyjnych. Miliony ludzi z całego świata marzą o odwiedzeniu Barcelony i Wenecji, wspinacze na Machu Picchu czy wylegiwaniu się w egzotycznych kurortach Bali i Tajlandii. Nasze dotychczasowe przyzwyczajenia turystyczne powodują jednak wiele szkód. Zastanówmy się, jakie koszty za swój sukces płacą najpopularniejsze destynacje.

Nadmierna turystyka jest wywoływana przez zbyt dużą liczbę

turystów odwiedzających dane miejsce. Objawy tego zjawiska obejmują m.in: alienację mieszkańców celu podróży, obniżenie satysfakcji turystów z wyjazdu, przeładowaną infrastrukturę, dewastację lokalnego środowiska naturalnego czy utratę lokalnej tożsamości.

Miasto, które nigdy nie śpi, bo nie ma gdzie

Barcelona to dawne centrum hiszpańskiego przemysłu oraz stolica słonecznej Katalonii. Jako organizatorka letnich igrzysk olimpijskich w 1992 r. zyskała na popularności do tego stopnia, iż uznano ją również za atrakcję turystyczną. Dziś jest jednym z najbardziej dotkniętych nadmierną turystyką miast na świecie. Przed pandemią odwiedzały ją średnio 32 mln podróżujących rocznie – to aż o 20 razy więcej od populacji

miasta¹. Tak drastyczna różnica pomiędzy liczbą odwiedzających a liczbą mieszkańców oraz nagły rozwój turystyki doprowadziły do wielu problemów dla ludzi żyjących w niej na co dzień. Pomiedzy 2000 a 2018 r. procent rezydentów obcej narodowości w Barcelonie wzrósł pięciokrotnie – z 5% do 25%². Zatlócenie miasta przez przybyszy z zagranicy skutkuje zaś znacznym wzrostem cen mieszkań: tylko w latach 2013–2019 cena wynajmu skoczyła o niebotyczne 36,4%³. Za tak szybkim tempem nie nadąża wzrost zarobków, co oznacza, że sytuacja mieszkaniowa dla osób żyjących w Barcelonie staje się coraz bardziej niebezpieczna. A czym byłaby Barcelona bez jej mieszkańców?

¹ *Overtourism in Barcelona*, <https://www.responsibletravel.com/copy/overtourism-in-barcelona> [dostęp: 9.06.2021].
² *The housing crisis in cities: causes, effects and responses*, https://habitatge.barcelona/sites/default/files/diialogs_habitatge-en-gb_webz.pdf [dostęp: 9.06.2021].
³ Tamże.



Il.: Kristina Spisakova z Pixabay

Parquetematizació – gdy miasto staje się parkiem rozrywki

La Rambla, La Boqueria czy liczne dzieła architektoniczne Antonia Gaudiego, do których należy m.in. słynna Sagrada Família, są obecne w licznych reklamach zachęcających nas do odwiedzenia stolicy Katalonii. Czym jednak byłyby te miejsca bez mieszkańców Barcelony – żywej tkanki, która pozwala jej zachować unikatową kulturę

Barcelona jest jednym z najbardziej dotkniętych nadmierną turystyką miast na świecie

i tożsamość? Proces zwany *parquetematizació*, który w wolnym tłumaczeniu oznacza „zamianę miasta na park rozrywki”, jest przyspieszany nie tylko przez opisywaną sytuację mieszkaniową, ale również przez nawyki turystów. Zbyt wielu z nich bowiem spędza czas w tych samych miejscach, co doprowadza do odizolowania mieszkańców miasta od jego symboli i najważniejszych atrakcji. To z kolei oznacza, że miejsca te stają się jedynie placem zabaw dla odwiedzających i powoli tracą swoją wyjątkowość. Dodatkowo większość turystów spędza w Barcelonie zbyt mało czasu – zazwyczaj tylko jeden dzień – przez co starają się oni w jak najszybszy i intensywny sposób odkryć miasto, najczęściej poprzez odwiedzenie najpopularniejszych i najbardziej zatłoczonych atrakcji. Prowadzi to do skoncentrowania się przychodów w najbardziej turystycznych dzielnicach miasta, a w efekcie do powiększenia się nierówności ekonomicznych wewnątrz Barcelony.

W reklamach stolicy Katalonii równie często co zabytki przedstawia się jej śródziemnomorskie plaże. One również padły ofiarą nadmiernej turystyki. Port w Barcelonie w 2019 r. został uznany za najbardziej zanieczyszczony w Europie⁴. Powodem tak tragicznego stanu są statki wycieczkowe. W tym samym roku Barcelona przywitała aż 3,4 mln przybywających z nich pasażerów⁵. Ślad węglowy każdego z nich jest o trzy razy większy niż generowany przez pasażerów przebywają-

cych na lądzie⁶. Poza niszczeniem klimatu na naszej planecie statki wycieczkowe mogą również wyrzucać śmieci, zrzucić ścieki, a nawet wylewać paliwo – wszystko trafia do oceanu lub, jak w tym przypadku, do morza.

Nadzieja na zrównoważony rozwój

Barcelona padła ofiarą własnego sukcesu, przez co masy turystów odbierają ją jej mieszkańcom. Osobom żyjącym w Barcelonie brakuje miejsca do życia, a środowisko – i morskie, i lądowe – jest zdewastowane. Najważniejsze miejsca dla tożsamości miasta stają się pozbawioną głębi atrakcją samych siebie.

Rok 2017 był bardzo intensywny zarówno dla Barcelony, jak i całej Katalonii. To wtedy odbyło się

referendum niepodległościowe regionu, w wyniku czego doszło do zamieszek. Jednym z tematów, wokół których na ulicach zapanał chaos, była nadmierna turystyka. Powszechne niezadowolenie z jej nieregulowanego rozwoju doprowadziło do wprowadzenia reform, które mają za zadanie chronić mieszkańców przed jej negatywnymi skutkami. W tym samym roku wprowadzono także zmiany w planowaniu miasta ograniczające rozwój hoteli, w szczególności w rejonach narażonych na negatywne efekty powodowane przez zbyt dużą liczbę odwiedzających.

Walka o Barcelonę lepszą dla mieszkańców (a więc także i dla turystów) wciąż trwa. Zgodnie z planem strategicznego rozwoju turystyki na lata 2016–2020 turystyka w Barcelonie rozwijała się w sposób syntetyczny do rozwoju reszty miasta, na podstawie stwierdzenia: *Aktywność turystyczna musi być odzwierciedlona w dobrobycie mieszkańców Barcelony, oraz powinna być powodem i przyczyną zdrowego rozwoju miasta*⁷. Dodatkowo w 2016 r. założono specjalną radę ds. turystyki, której celem jest reprezentowanie wszystkich grup społecznych i branż gospodarki powiązanych z rozwojem turystyki w mieście. Ciało to wypełnia swoje cele poprzez doradztwo na poziomie komunalnym w sprawie aktywności powiązanych z rozwojem turystyki, proponowanie nowych rozwiązań oraz publikowanie raportów i badań.

Inną inicjatywą miejską jest wykorzystywanie tzw. *big data* w celu poprawy zarządzania turystyką. W ten sposób możliwe było np. ustalenie, które miejsca są najbardziej zagrożone

zatłoczeniem. Okazało się, iż są to Sagrada Família i Park Güell. Zmieniono więc godziny otwarcia kościoła i oczyszczono okoliczne chodniki z ogrodów restauracyjnych, w okolicach bazyliki zapewniając większą przepustowość.

Choć Barcelona pozostaje dobitnym przykładem skutków, jakie niesie za sobą nadmierna turystyka, to nie jest przykładem jedynym. W samej Europie w ten sam sposób licznie dewastowane są inne miejsca, od Dubrownika

Jak podróżować, by wyrządzać jak najmniej szkód miejscom, które odwiedzamy?

po Islandię. Nadmierna turystyka doprowadza do największych szkód przede wszystkim w rejonach uboższych oraz słabo rozwiniętych infrastrukturalnie. Bali to jedna z setek małych wysp na terytorium Indonezji, której niezwykle tradycje i urok przetrwały regionalny rozwój islamu oraz okres brutalnej holenderskiej kolonizacji. Dziś jednak wyspa ugina się pod liczbą odwiedzających ją turystów oraz pozostawianych przez nich śmieci. W tej kwestii Bali również nie jest wyjątkiem, a lista miejsc zniszczonych nadmierną turystyką wciąż się wydłuża.

Zrównoważony rozwój zamiast eksploatacji

Podróżowanie po świecie jest marzeniem wielu z nas. Musimy sobie jednak zadać pytanie: jak podróżować, by wyrządzać możliwie najmniej szkód miejscom, które odwiedzamy? Odpowiedzi poszukuje tzw. turystyka zrów-

noważona – ruch odpowiadający na zagrożenia i zniszczenia powiązane z nadmierną turystyką. Jak możemy stać się jego częścią i podróżować w sposób zrównoważony? Zapomnijmy o sieciach z fast foodami i międzynarodowych koncernach, lecz starajmy się wykorzystywać okazje do poznania lokalnej sceny gastronomicznej lub odwiedzenia miejscowego sklepu. W ten sposób sprawimy, że większy procent pieniędzy wydanych przez nas podczas podróży trafi do mieszkańców odwiedzanej przez nas destynacji. Bardzo ważny jest również wybór środka transportu. Warto unikać lotów samolotem z powodu pozostawianego przez nie śladu węglowego. Jeśli jednak nie mamy innego wyboru, wybierzmy lot bezpośredni, najlepiej klasą ekonomiczną. Doskonałym pomysłem jest użycie środków transportu zbiorowego, takich jak autobusy czy koleje, które są nie tylko dużo bardziej przyjazne dla środowiska niż transport lotniczy, ale zazwyczaj są także tańsze. Warto również zostawać dłużej w pojedynczych miejscach i cieszyć się nimi powoli. Pozwala to na głębsze poznanie miejsca, które odwiedzamy, a ponadto ogranicza zatłoczenie. Wyjazd poza sezonem wakacyjnym pozwala nie tylko zaoszczędzić parę groszy, uniknąć kolejek czy lepiej poznać odwiedzaną okolicę, ale dodatkowo zapewnia większy spokój mieszkańcom celu podróży, gdyż jego infrastruktura staje się mniej przeciążona.

Zrównoważone podróżowanie nie tylko pozwala nam podróżować taniej i lepiej, lecz dodatkowo nie szkodzi lokalnemu środowisku naturalnemu i kulturalnemu. ♦

Adrianna Zipper

Kolonialne oblicze turystyki

Kolonializm to ekonomiczny i polityczny system wyzysku, który teoretycznie zakończył się w zeszłym stuleciu. Wielu badaczy sądzi jednak, iż sednem kolonializmu nie jest to, co narzucili dominujący, lecz to, jak odpowiedzieli podporządkowani. Można by więc uznać, że jego naczelną zasadą jest gorzka akceptacja własnej niższości; stworzenie relacji władzy, w której kolonizowani nienawidzą i jednocześnie podziwiają kolonizatorów. Dopóki więc wyzwolenie nie obejmie najgłębszych zakamarków umysłu człowieka, dopóty kolonializm będzie jego najgłębiej ukrytej formy jest przemysł turystyczny.

„Minęło, a szkoda”

Kolonializm i podróże nigdy nie były ze sobą związane tak ściśle, jak w obecnych czasach. Strategie marketingowe przemysłu turystycznego od wielu lat opierają się na renowacji kolonializmu w biznesie. Rozwój turystyki, jej intensyfikacja oraz ekspansja na nowe rynki zwiększyły liczbę spotkań z historią i pamięcią, a w miarę upływu czasu rośnie wpływ przeszłości kolonialnej. Wiele społeczeństw swoje doświadczenie wyzysku stara się wykorzystywać. Ważną częścią tego zjawiska jest architektura imperialna, czyli budowle tworzone w czasach

kolonialnych w oparciu o modę panującą w kraju kolonizatorów, mającą ukazywać potęgę ich państwa i jego władanie nad danym terenem. Renowacje tego typu architektury w Rangunie, największym mieście Mjanmy (byłej kolonii brytyjskiej), czy renowacja hotelu Raffles w Singapurze (nazwanym na cześć brytyjskiego gubernatora Indii Wschodnich) dla wielu brytyjskich, holenderskich czy francuskich turystów są nacechowane kolonialną nostalgią. Tęsknota za imperialistyczną potęgą ich państwa sprawia, że chętniej odwiedzają oni te miejsca, które kiedyś „należały do nich”, mimo że zdobywano je okrucieństwem i przemocą wobec rdzennych ludności.

Historyczne przeinaczenia można znaleźć w mieście przemysłowym Sawahlunto w Indonezji. To w nim państwo zainwestowało duże środki

w nowe atrakcje turystyczne, ale, jak zauważają badaczki Agseora Ediyen i Shuri Tambunan, w procesie tym zatarto część historii obszaru i stworzono nową narrację opartą na rozwoju, przedsiębiorczości i narodowej pomysłowości, która ukryła niesprawiedliwości kolonialnej przeszłości¹. W rekonstrukcjach mających pokazywać dzieje tego miejsca brakuje historii przemocy wobec rdzennych górników, spośród których wielu zostało uznanych za politycznych buntowników i było zmuszanych do pracy w łańcuchach, boso.

Kolonialny charakter turystyki został poddany krytyce także w kontekście parku narodowego Tayrona w Kolumbii i zainscenizowanego spotkania

¹ Agseora Ediyen, Shuri Mariasih Gietty Tambunan, *Cultural Heritage and Images of the City: Transformation of Sawahlunto in Indonesia*, *International Review of Humanities Studies* 3(2), październik 2018. https://www.researchgate.net/publication/331071500_CULTURAL_HERITAGE_AND_IMAGES_OF_THE_CITY_TRANSFORMATION_OF_SAWAHLUNTO_IN_INDONESIA [dostęp: 29.07.2021].

z potomkami ludu Tayrona². Ludność tubylcza została w nim przekształcona w lokajów i rozrywki dla turystów – noszą swoje tradycyjne ubrania, aby stworzyć przyjemne środowisko dla realizacji postkolonialnych fantazji. Miejsce to sprzedaje się pod hasłem: *Można tu nie tylko obcować z dziewiczą przyrodą, ale też poznać naturalne środowisko indiańskich społeczności zamieszkujących te tereny od wieków*. Dla turystów poznawanie kultury danej ludności zwykle sprowadza się do przedstawienia bądź jakiegoś przedmiotu. Zainteresowanie wzbudzają maski i tradycyjne stroje, w których tubylcy nie chodzą przecież codziennie, lecz zakładają je jedynie dla zwiedzających. Tworzy to dwa oblicza kultury tubylczej: zewnętrzne, a więc komercyjne, i wewnętrz-

² Santiago Castro-Gómez, Eduardo Restrepo (red.), *Genealogías de la colombianidad: Formaciones discursivas y tecnológicas de gobierno en los siglos XIX y XX*, Bogotá 2008.

ne, które nie pozostaje obojętne na wpływy technologii i globalizacji. Rdzenna tożsamość zostaje więc zmonetyzowana, a jednocześnie rdzennych mieszkańców przedstawia się jako jednostki, które powinny trzymać z dala od zmian. Ich zadaniem jest podtrzymywanie oryginału – gdyby stały się „cywilizowane”, przestałyby być ciekawe.

Egzotyczne więzienie?

Turystyka zaczęła się od pogoni za egzotycznym „innym”, odmiennością i autentycznym doświadczeniem. Reklamy często przywoływały obrazy kolonialnej przeszłości, umożliwiając fantazjowanie o imperialnych podróżach i przygodach. Kolonializm odbija się w wyobraźni turystów, kampaniach reklamowych czy cieszących oko klientów obrazach „innego, rajskiego świata”. Narracja turystyczna tworzy nierówną i uprzedmiotawiającą relację między osobą z zewnątrz (turystą) a lokalnym gospodarzem (mieszkańcem). Podstawowym celem tej relacji jest bowiem zaspokojenie potrzeb turysty, który zwykle nie bierze pod uwagę ewentualnych kosztów tego spotkania ponoszonych przez mieszkańców.

Na pewno wielu z nas kojarzy kobiety z grupy etnicznej Padaung, żyjące na granicy Mjanmy i Tajlandii. Pojawiły się one w programie podróżniczym Martyny Wojciechowskiej, która zachwycała się ich niezwykłym wyglądem. Przez większość swojego życia noszą one wokół szyi metalowe obręcze, ważące nawet 5 kg, które zgniatają im obojczyki i deformują żebra, sprawiając wrażenie wydłużonej szyi. Gdy kobiety były zmuszone



Il.: bacy Abbas, unsplash.com, Hotel Raffles w Singapurze

Kolonializm i podróże nigdy nie były ze sobą złączone tak ściśle, jak w obecnych czasach

zbiec z Mjanmy do Tajlandii (z powodu niestabilności państwa i kryzysu w latach 80. XX w.), miejscowi biznesmeni zwęszyli okazję na zarobek i zaczęli promować „kobiety o długich szyjach” jako atrakcję turystyczną dla ludzi z Zachodu. Za noszenie obręczy kobieta może dostać np. worek ryżu raz na miesiąc. Obręcze to dla nich jedyna możliwość zarobku, ale jednocześnie także więzienie. Ich codzienne życie to spektakl dla turystów: każdego poranka do wioski zjeżdżają ogromne grupy ludzi nachalnie robiących zdjęcia i z ciekawością dotykających obręczy na szyjach kobiet. Wioska Padaung to dla zwiedzających „ludzkie zoo” – nie mają oni oporu porównywać kobiety do żyraf. Zdjęcie przez którąś z nich obręczy jest wydostaniem się z więzienia, ale jednocześnie pozbawieniem się zarobku. Kiedy inni uchodzący z Mjanmy umierają z głodu, kobiety Padaung muszą zarabiać na wła-

Kiedy wyobrazimy sobie rozmowę „zachodniego turysty” z „egzotycznym tubylcem”, szybko dojdziemy do wniosku, że nie jest to relacja polegająca na wzajemnym traktowaniu się w sposób podmiotowy. W takich sytuacjach obydwie strony nadal odgrywają role napisane przez przodków w świecie kolonialnym, który właściwie nigdy nie przestał istnieć, lecz po prostu zmienił formę na bardziej dyskretną i trudniejszą do zidentyfikowania. To zjawisko nazywane jest neokolonializmem. Neokolonialne sposoby dominacji są dużo bardziej subtelne, nieformalne, skryte za oficjalnie niepodległymi rządami, wielkimi korporacjami, nieoficjalnie przekazywaną wiedzą i ideami, które są współczesnymi odpowiednikami oświeceniowej myśli cywilizacyjnej i nowymi formami reprezentacji.

Z neokolonializmem wiąże się tzw. „deterytorializacja myślenia”, czyli zjawisko, w którym

do rozwoju lokalnych gospodarek w kontekście produktu krajowego brutto, jednakże ważne jest, by wziąć pod uwagę również podział bogactwa. W wielu krajach, w których rozwój turystyki kwitnie, właściciele hoteli, sklepów czy restauracji są obcokrajowcami.

Światowa Organizacja Handlu przeprowadziła badanie, z którego wynika, że tylko 5 ze 100 dolarów wydanych w krajach rozwijających się zasila ich gospodarkę. Zagraniczni inwestorzy i właściciele firm są w stanie wyselekcjonować elementy danego miejsca, które chcą sprzedać dla własnych korzyści finansowych. To brzmi jak kolonializm, prawda?

Globalizacja często idzie w parze z przekonaniem, że to, co luksusowe i nowoczesne, pochodzi z Zachodu, który staje się „epicentrum globalnej kultury”. W tym neokolonialnym świecie narody teoretycznie niepodległe nadal są na różne sposoby eksploatowane, zdominowane i zależne od byłych kolonizatorów.

W turystyce mamy do czynienia z najbardziej powszechnym i najmniej formalnym (a tym samym niedającym się w żaden odgórny sposób kontrolować) modelem powielania niektórych relacji kolonialnych. Co możemy zrobić, by temu zapobiec? Podróżować bardziej świadomie i szanować ludzi, którzy żyją w danym kraju – nie traktować ich jak atrakcji, której jedynym celem jest uszczęśliwienie turystów. Przede wszystkim jednak należy naciskać na rządy i korporacje – kolonializm turystyczny nie jest bowiem problemem ignorancji pojedynczych osób, lecz opartego na eksploatacji krajów rozwijających się systemu. ♦

Paweł Miech

Jezioro Żywieckie zamiast Seszeli, czyli jak podróżować ekologicznie

Ocieplenie klimatu sprawia, że nasze podróże będą musiały się zmienić. Turystyka odpowiada za dużą część emisji CO₂, produkuje też miliony ton śmieci. Tylko czy ekologiczne podróże są w ogóle możliwe?

Można powiedzieć, że są tym bardziej możliwe, im biedniejsi jesteśmy. Kochane przez najbogatszych loty na Malediwy czy Seszele zostawiają znacznie większy ślad węglowy niż wycieczka do lasu. Większość światowego ruchu turystycznego odbywa się pomiędzy USA, Kanadą a Europą Zachodnią. Mieszkańcy biedniejszych krajów podróżują mniej, bo ich na to nie stać. Prognozy sugerują jednak, że globalny ruch turystyczny będzie wzrastał. Kraje rozwijające się będą coraz bogatsze, a ich mieszkańcy będą chcieli zwiedzać świat.

Ślad węglowy turystyki to nie tylko transport, ale także emisje wynikające z konsumpcji, zakupu towarów w innym miejscu, utrzymania obiektów turystycznych czy odpadów pozostawianych przez podróżnych.

W Alpy autem elektrycznym

Istnieją możliwości bardziej ekologicznego podróżowania, jednak nie zawsze jest ono łatwo dostępne. Podróż pociągiem

będzie lepsza dla środowiska naturalnego niż lot samolotem, a przejazd samochodem elektrycznym lepszy niż spalinowym. Problem w tym, że pociągiem do wielu miejsc nie dotrzemy, a auto elektryczne często nie ma zasięgu pozwalającego pokonać większe odległości bez zatrzymywania się na długie ładowanie.

Turystyka ma wpływ na sposób, w jaki producenci projektują

Kraje rozwijające się będą coraz bogatsze, a ich mieszkańcy będą chcieli zwiedzać świat

samochody elektryczne. Gdyby ludzie nie odbywali kilku podróży w roku na długich dystansach, mogłyby one mieć mniejszy zasięg i nie byłby on postrzegany jako wada. Większość ruchu samochodowego odbywa się na krótkich dystansach, do czego auto o zasięgu 100 czy 200 km byłoby całkowicie wystarczające. Zwykły mieszkaniec miasta porusza się stałymi ścieżkami – z pracy do domu, z domu do przedszkola, z przedszkola do sklepu itp. Może raz w roku wybierze się w Alpy i wtedy faktycznie potrzebuje samochodu, który długi dystans pokona za jednym razem.

Gdyby auta elektryczne miały krótsze zasięgi, koszty ich produkcji byłyby dużo niższe. Znaczącą ich część stanowi bowiem bateria. Im więcej energii może ona przechować, tym większy zasięg samochodu, ale również wyższy koszt produkcji oraz większa waga, co oznacza, że potrzeba także więcej energii, by się takim autem poruszać. Malutkie, lekkie auta elektryczne o niewielkim zasięgu mogłyby

być dużo tańsze. Przykładowo chińska firma Geely produkuje najtańszy i najlepiej sprzedający się samochód elektryczny. Koszt jej pojazdu wynosi zaledwie 4500 dolarów, czyli około 17 tys. zł, i ma zasięg 120 km.

Europejskie czy amerykańskie koncerny samochodowe niechętnie jednak produkują takie auta. Trwający obecnie wyścig między producentami dotyczy zbudowania pojazdu

z jak najbardziej pojemną baterią, co prowadzi do wzrostu kosztu produkcji i emisji dwutlenku węgla. Produkcja auta elektrycznego emituje więcej CO₂ niż produkcja auta z silnikiem spalinowym. Samochód z większą baterią jest też cięższy i zużywa więcej prądu. Turystyka mocno wpływa więc na nasze myślenie. Jednorazowy wyjazd na wakacje decyduje o tym, jaki pojazd kupimy i jakie pojazdy projektują producenci.

Kosztowne paliwo ze śmieci

Duża część współczesnego ruchu turystycznego to transport lotniczy. Odpowiada on za 2,4% emisji dwutlenku węgla. Choć w okresie pandemii liczba podróży samolotem znacznie spadła, to w ujęciu długoterminowym ludzie z roku na rok latają coraz więcej. Niestety (dla klimatu) podróże te coraz częściej odbywają się także na krótkich dystansach, które mogłyby być pokonane za pomocą bardziej ekologicznego środka transportu, np. pociągu.

Zainteresowanie wzbudzają maski i tradycyjne stroje, w których tubylcy nie chodzą przecież codziennie, lecz zakładają je jedynie dla zwiedzających

snym cierpieniu jako atrakcja dla pełnych ignorancji turystów.

Dwa światy

Piętno kolonializmu jest widoczne podczas bezpośredniego spotkania dwojga niepowiązanych ze sobą osób pochodzących z różnych części świata. Najczęściej do spotkania mogącego utrwalić kolonialne hierarchie dochodzi podczas wakacji jednej ze stron.

dominacja nie musi już być okazywana przez zajmowanie ziemi. Do imperialistycznych metod należy biznes i kierowanie pojmowaniem świata w konkretny sposób. W turystyce objawia się to poprzez traktowanie rdzennej ludności jak atrakcji turystycznych.

Nie do końca lokalne

Luksusowe podróże czasem oczywiście mogą przyczynić się

Ograniczenie emisji z transportu lotniczego nie jest łatwe. Inżynierowie pracują nad produkcją paliwa z materiałów, które nie emitują CO₂ – np. z soi, oleju palmowego czy nawet z odpadów. Niestety są one kilka razy droższe

Turystyka mogłaby motywować do troski o środowisko naturalne samorządy, ale nie zawsze tak się dzieje

od paliwa konwencjonalnego, co powoduje, że na dziś nie stanowią dla niego realnej alternatywy. Większe nadzieje można wiązać z mieszankami biopaliw i paliw konwencjonalnych, które testowane są przez niektóre amerykańskie linie lotnicze¹. Nie jest to zresztą nowy patent, gdyż już dzisiaj w naszych samochodach znajdują się domieszki biopaliw

(na ogół etanolu, alkoholu produkowanego z kukurydzy, co ogranicza emisję dwutlenku węgla).

Mówiąc o śmieciach, warto wspomnieć, jak często turystyka przyczynia się do zaśmiecania przyrody. Ekstremalnym przykła-

dem tego zjawiska jest Mount Everest, którego zdobywanie w ostatnich czasach stało się znacznie bardziej przystępne. W związku z tym, że tłok na górze jest coraz większy, konieczne stało się zorganizowanie ekspedycji, która miałaby oczyścić szczyt ze śmieci. Zebrało aż 11 ton odpadów i cztery martwe ciała.

Według statystyk aż 14% światowych odpadów jest powiązanych z turystyką. To praw-

dziwa góra śmieci: 4,8 mln ton odpadów. Przeciętna turystka podróżująca po Europie produkuje aż 1 kg odpadów dziennie. W Stanach Zjednoczonych liczba ta jest jeszcze większa i wynosi aż 2 kg dziennie. Z jednej strony tak duża ilość wiąże się z ogromnym zużyciem produktów jednorazowych przez hotele i inne obiekty turystyczne. Z drugiej strony turyści często nie respektują lokalnych przepisów dotyczących segregowania śmieci, ponieważ ich nie znają lub nie rozumieją².

Spacer w lesie czy safari w Zimbabwie?

Choć turystyka z pewnością może przyczyniać się do zanieczyszczenia środowiska, to nie

sposób widzieć w niej jedynie złych stron. Kontakt z przyrodą może nam uświadaczać piękno środowiska naturalnego i motywować do działania na rzecz jego zachowania. To o tyle istotne, że dla wielu mieszkańców miast środowisko naturalne jest dostępne jedynie na Instagramie czy YouTube. Bezpośredni kontakt z naturą może więc otwierać nasze horyzonty i skłaniać do namysłu nad tym, co możemy stracić, jeśli jako ludzkość wciąż będziemy brutalnie eksploatować nasze ekosystemy. Jednak czy taki kontakt z naturą faktycznie wymaga dalekiej podróży? Pod tym względem regularne wycieczki na rowerze do pobliskiego lasu mogą być znacznie lepsze niż lot samolotem na safari do Zimbabwe.

Należy zaznaczyć, że naprawdę „naturalnego” środowiska w Polsce pozostało niewiele. Niemal każdy las jest w jakiś sposób eksploatowany przez człowieka. Bardzo niewiele terenów ma status parku narodowego, w którym przyroda jest chroniona w szczególnym stopniu. W Polsce taki status ma zaledwie 1% powierzchni kraju – to znacznie mniej niż w innych państwach europejskich³.

Turystyka mogłaby motywować do troski o środowisko naturalne samorządy, ale nie zawsze tak się dzieje. Funkcję tę z założenia powinna pełnić tzw. opłata klimatyczna pobierana w miejscach, które posiadają walory krajobrazowe. Opłata ta jest niewysoka, gdyż wynosi zaledwie 2–3 zł, jednak dla niektórych miejscowości stanowi sporą część ich wpływów. Przykładem

³ Adam Robiński, *Parki Narodowe. Czy wciąż chronimy przyrodę*, „Pismo”, <https://magazynpismo.pl/idee/studium/parki-narodowe-czy-wciaz-chronimy-przyrode-polska-ekologia-srodowisko/> [dostęp: 19.07.2021].

¹ Jon Sindreu, *The Promise of Sustainable Aviation Fuel Isn't for Today*, „The Wall Street Journal”, <https://www.wsj.com/articles/the-promise-of-sustainable-aviation-fuel-isnt-for-today-11578655172> [dostęp: 19.07.2021].

² Edmundo Muñoz, Rodrigo Navia, *Waste management in touristic regions*, <https://journals.sagepub.com/doi/10.1177/0734242X15594982> [dostęp: 19.07.2021].



Il.: Darkmoon_Art z Pixabay

Według statystyk aż 14% światowych odpadów jest powiązanych z turystyką

jest Zakopane, które zarabia na niej aż 4,3 mln zł. Według orzecznictwa Najwyższego Sądu Administracyjnego pobieranie opłaty powinno zobowiązać gminę do troski o środowisko naturalne. Jeśli gmina tej troski nie wykazuje, opłata nie powinna być pobierana. Takie orzeczenie zostało wydane w 2020 r. po tym, gdy działacz stowarzyszenia Miasto Jest Nasze zaskarżył władze Torunia o pobieranie opłaty klimatycznej, choć normy jakości powietrza w mieście zostały

Mieszkańcy biedniejszych krajów podróżują mniej, bo ich na to nie stać

znacząco przekroczone przez smog. Sąd uznał, że gdy jakość powietrza w gminie jest niska, samorząd nie może pobierać opłaty⁴.

Wydaje się, że epidemia obudziła w ludziach pragnienie kontaktu z naturą. Podczas lockdownu nie było co robić, a sklepy były zamknięte, przez co wiele osób ruszyło w góry i do lasów. Na szlakach w Beskidach czasem widać było prawdziwe tłumy. Wielu z nas odkryło także wartość przydomowych ogródków, a sklepy ogrodnicze notowały znacznie zwiększone obroty. Pozostaje pytanie: czy taki trend się utrzyma, czy też z czasem ludzie wsiądą z powrotem do samolotu i polecą za granicę? Z punktu widzenia środowiska byłoby najlepiej, gdyby pozostali tam, gdzie są. ♦

⁴ Katarzyna Nocuń, Turysty nie będą płacić za smog. Samorządy dostaną po kieszeni, „Dziennik Gazeta Prawna”, <https://serwis.gazetaprawna.pl/samorzadz/artrykuly/1487169,smog-oplata-klimatyczna-turysty-budzet-miasta-turysty.html> [dostęp: 19.07.2021].

Adam Konieczny

Mikrowyprawy – czas podróży minimalistycznych

Przygoda zaczyna się w kępie trawy koło naszego domu. Wystarczy się tylko rozejrzeć. Nie musimy oddawać się szaleństwom na drugim końcu świata ani kolekcjonować zdjęć i pamiątek z kolejnych umasowionych miejsc. Podróże, odkrycia i odpoczynek są wokół nas.

Lato, wakacje, urlop, relaks, chwile wytchnienia i planowanie podróży – w końcu nastala pora roku, której wyczekujemy z niecierpliwością. Ale jak to jest z tym wypoczynkiem tak naprawdę? Czy w obecnym świecie nastawionym na zysk i efektywność możemy sobie

pozwoić na prawdziwą sztukę nicnierobienia, pełny odpoczynek i przyjemną utratę czasu? Oczywiście nie chodzi o mistrzostwa w leżeniu brzuchem do góry na kanapie i bezsensowne gapienie się w telewizor, tylko o coś ważniejszego: czy naprawdę jesteśmy w stanie przestawić swoje myślenie o czasie wolnym i związanych z nim podróżami? Czy może jednak odpoczynek jako daleka podróż jest dla nas jednym z wielu punktów, które musimy odhaczyć i zaliczyć za wszelką cenę? Czy podróżowanie w czasach masowej turystyki daje w ogóle szansę na prawdziwy wypoczynek?

Podróże czasów masowej turystyki

Rozwój podróży na masową skalę, czyli stan, który wydaje się normalnością i z perspektywy człowieka XXI w. trudno pomyśleć o innym, przypada na XX w.

Industrializacja, rozwój nowych środków transportu i rosnący dobrobyt umożliwiły powszech-

Dzięki masowej turystyce potwierdzamy obraz samego siebie

ne podróżowanie. Rosnący popyt spowodował pojawienie się najróżniejszych ofert turystycznych – każdemu według potrzeb i możliwości finansowych: przygoda na Antarktydzie, singiel pod palmami w poszukiwaniu swojej drugiej połówki, wakacje *all inclusive* dla całej rodziny, dwutygodniowy pijacki maraton na Majorce, obóz sportowy dla biegaczy amatorów, wczasy tylko dla seniorów czy „ucieczka” od COVID-19 na Zanzibar. Dzięki masowej turystyce potwierdzamy obraz samego siebie: w którym miejscu życia się znajdujemy i do której grupy społecznej należymy lub aspirujemy.

Forma i cel podróży nie są jednak, jak mogłoby się wydawać, całkowicie wolnym wyborem. Jeżeli podróżujący zdecyduje się ją spędzić w sposób niewpisujący się w standardy grupy, do której należy lub chciałby należeć, nie będzie mógł potwierdzić swojej pozycji.

Podróże czasów masowej turystyki są zatem symbolem statusu społecznego, którego potwierdzenie stało się jeszcze łatwiejsze za sprawą szeroko rozpowszechnionych mediów społecznościowych i tanich lotów, bez których podróżowanie wydaje się dziś praktycznie niewyobrażalne. Media towarzyszą człowiekowi przed podróżą, w jej trakcie

i po jej zakończeniu. Wszystko zostaje nam podstawione pod nos: gdzie być, co zwiedzić i jakie zdjęcia zrobić, by pozostać unikatowym w świecie, w którym wszystko zostało już zobaczone, sfotografowane i opowiedziane tysiące razy. Podróżowanie w czasach masowej turystyki i mediów społecznościowych stało się podróżowaniem „bycia widzianym”, a nie „widzenia”. Nie jestem pewien, czy masowa turystyka daje jakiegokolwiek szansę na prawdziwy odpoczynek – za dużo w niej stresu, za dużo ludzi i za dużo bycia. Otwartym pozostaje pytanie, czy musimy być widziani na drugim końcu świata, choć w dobie kryzysu klimatycznego odpowiedź powinna być oczywista.

Czy istnieje alternatywa dla dalekich wojaży? Oczywiście, że tak! Choć dziś jest ona uprawiana głównie przez wielkomiejskich hipsterów, możliwe,

Podróże czasów masowej turystyki są zatem symbolem statusu społecznego

że w niedługim czasie stanie się normą i jedyną formą podróży, na którą człowiek będzie mógł sobie pozwolić. Chodzi o egzotykę wokół własnego domu.

Mikrowyprawy – podróże minimalistyczne

Mikropodróże stoją w opozycji do podróży masowych. Nie są zwiedzaniem świata na wielką skalę – na próżno w nich szukać zatłoczonych uliczek Lizbony i dwutygodniowego zamknięcia z *all inclusive* w wielkim hotelowym molochu. Mikrowyprawy to poznawanie własnego

podwórka – tego swojskiego świata, o którym nie myślimy w kategoriach odpoczynku, przygody czy szansy na wakacje. Kojarzymy go raczej z nudą, choć okolica, w której żyjemy, dla wielu z nas bardzo często pozostaje najmniej odkrytą częścią Ziemi. Poruszamy się utartym szlakiem: dom, praca, szkoła, sklep, dom. W takim wypadku trudno mówić o odkrywaniu czegokolwiek. Tymczasem już zerwanie z rutyną poprzez wybór innej trasy do pracy może stać się mikrowyprawą. Porzucenie samochodu lub innego środka transportu na rzecz nóg, jeżeli nie wiąże się z pokonaniem zbyt dużej liczby kilometrów, może przybliżyć nas do otaczającego świata i zapewne zmieni perspektywę, z której go postrzegamy. Tutaj mała rada od autora: jeżeli twój punkt docelowy znajduje się mniej więcej 3 km od wyjścia i jesteś w pełni sił fizycznych, spokojnie



Il.: Adam Konieczny, jeden z punktów jego autorskiej trasy „szlakiem ewangelickich kościołów Śląska Cieszyńskiego”

dla wszystkich grup społecznych i nie wiążą się z wielkimi nakładami finansowymi ani czasowymi. Innym słowy chodzi o to, by podróżować prosto, tanio, lokalnie, a przy tym przygodowo i zwykle bez planu oraz zbędnych przygotowań – minimum czasu na organizację, maksimum czasu spędzonego na wyprawie. Mikro-wyprawę można by opisać słowa-

Chodzi o to, by podróżować prosto, tanio, lokalnie, a przy tym przygodowo i zwykle bez planu oraz zbędnych przygotowań

mi piosenki *Remedium* śpiewanej przez Marylę Rodowicz: *Wsiąść do pociągu byle jakiego /Nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet /Ściskając w ręku kamyczek zielony /Patrzeć jak wszystko zostaje w tyle. Nieważne gdzie, nieważne jak – byle wyruszyć. Jeżeli kiedykolwiek marzyliście o tym, by po pracy wsiąść do pierwszego odjeżdżającego ze stacji pociągu i ruszyć w nieznaną, ale zawsze pojawiającą się jakaś wymówka, to czas z nią skończyć i po prostu ruszyć. Spontaniczność takiej podróży już sama w sobie jest przygodą. Da niektórych jednak może okazać się zbyt dużym wyzwaniem, bo jak to tak po prostu ruszyć, zostawiając świat za sobą? Może po pustyni na wielbłądzie bym się przejechał, ale tak na chybił trafił ruszyć pociągiem do jakiejś wiochy? To nie na moje nerwy.*

Mikrowyprawy to nie tylko pójście na żywioł. Osoby bardziej zorganizowane mogą poświęcić kilka chwil na przygotowania: wyszukać lub zaplanować własną trasę rowerową po najbliższej okolicy lub znaleźć, a nawet stworzyć tematyczny szlak

spacerowy. Jestem autorem trasy po najbliższej okolicy mojego miejsca zamieszkania (tereny Śląska Cieszyńskiego pomiędzy Cieszynem a Skoczowem), którą roboczo, dla własnego użytku nazwałem „szlakiem ewangelickich kościołów Śląska Cieszyńskiego”. Nie jest to jednak trasa o zabarwieniu religijnym. Przy-padek chciał, że można na niej

zobaczyć kilka takich obiektów. Mogę ją pokonać na rowerze (wariant dłuższy) lub pieszo (wariant krótszy) praktycznie o każdej porze roku i w różnych warunkach atmosferycznych. Szlak nie jest zamknięty, lecz cały czas odrywam i wydłużam go o nowe miejsca, o których istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia.

Dla jeszcze bardziej zaawansowanych poszukiwaczy rytygód mikrowyprawa może oznaczać spakowanie do plecaka tylko najpotrzebniejszych rzeczy: namiotu, śpiwora i wałówki, dzięki którym można rozbić się gdzieś na skraju lasu. Chociaż, jak podpowiada pewien znany wędrowiec, i to nie jest konieczne, bo lepiej wziąć ze sobą mniej niż później niepotrzebnie jęczeć:

Rytek zaczął narzekać. – Jestem zmęczony – żalił się. – Jestem wszystkim zmęczony. Teraz wasza kolej nieść namiot. I patelnię. – To dobry namiot – rzekł Włóczykij – ale nie trzeba zbyt przywiązywać się do przedmiotów, które się posiada. Rzuć go po prostu. I patel-

*nię też. I tak nie ma co na niej smażyć.*¹

Wszystko, czego nam potrzeba do odbycia mikrowyprawy, to chęci. Namiotu, śpiwora i plecaka nie musimy kupować. Zapewne niejedyn z naszych znajomych ma i pożyczycy. Niegłupim pomysłem jest zabranie ze sobą telefonu komórkowego, jednak lepiej go wyłączyć i używać w sytuacjach wyłącznie awaryjnych – w końcu mikrowyprawa ma być odpoczynkiem. Na wszelki wypadek dobrze mieć ze sobą apteczkę. Polska raczej nie należy do krajów niebezpiecznych pod względem zagrożenia np. ze strony dzikich zwierząt, ale wypadki lubią się zdarzać. Co jednak najważniejsze, podczas mikrowyprawy nie należy pozostawiać za sobą śladu. Nie wiem, kto wpada na wspaniałe pomysły rozrzucania wokół siebie śmieci, lecz jeżeli istnieje jakiś dekalog mikrowypraw (ale i nie tylko), jego pierwsze przykazanie powinno brzmieć: „Nie będziesz śmiecił ani pozostawiał żadnego innego śladu po sobie”.

Jeżeli chcielibyście zgłębić temat mikrowyprawy, to ich największym orędownikiem i propagatorem w Polsce jest Łukasz Długowski, autor książki *Mikrowyprawy w wielkim mieście. Wypocznij i naładuj baterie!*. Możecie go znaleźć również na Instagramie pod nickiem „mikrowyprawy” lub posłuchać jego podcastu *Akademia Leśna Mikrowyprawy*. W książce Długowskiego znajdziemy propozycje kilku takich podróży odbytych przez autora. Czy można spać w namiocie na wyspie we Wrocławiu? Podróżnik udowadnia, że tak:

¹ Tove Jansson, *Kometa nad Doliną Muminków*, tłum. Teresa Chłapowska, Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 2020, s. 78.

Byłem niecałe pół godziny drogi od centrum i miasto zaczęło znikać. Wysiadłem z autobusu na pętli w Bartoszowicach, minąłem Biedronkę, magazyny, hale przemysłowe i im bardziej zbliżałem się do rzeki, tym mniej czułem, że jestem w mieście. [...] Miejsce klaksonów, hałasujących szyn tramwajowych i terkoczących samochodów zajmowały ptaki, przelewająca się woda [...] Odszedłem kawałek od brzegu, żeby rozbić namiot i rozpałić ognisko. [...] W nocy nikt mnie nie niepokoił, nie słyszałem żadnych zwierząt, zero miejskich hałasów. Rano spakowałem się

Wszystko, czego nam potrzeba do odbycia mikrowyprawy, to chęci

*i tą samą trasą wróciłem na przystanek.*²

W książce znajdują się nie tylko propozycje mikrowypraw, ale również porady, jak dobrze się do nich przygotować. Z filmików Długowskiego na Instagramie możemy dowiedzieć się, jak nie złać wspomnianego przykazania i poprawnie zakopać w lesie odchody.

Innym źródłem pomysłów na mikrowyprawy po Polsce jest Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz (które można znaleźć na Facebooku). Co znajdziemy na stronach Krajobrazu? M.in. propozycje wspólnego przejścia tras, takich jak powstałej już w latach 70. XX wieku Warszawskiej Obwodnicy Turystycznej. Około 300 km na zachód od Warszawy, w Poznaniu,

² Łukasz Długowski, *Mikrowyprawy w wielkim mieście. Wypocznij i naładuj baterie!*, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2017, s. 115–118.

będziemy mogli poszukać kraterów po meteorytach lub pójść na spacer śladami astronautów. Wszystko to dzięki przewodnikowi *Fyrtle – z życia poznańskich osiedli* autorstwa Towarzystwa. W Puszczy Białowieskiej możemy z kolei wziąć udział w festiwalu krajoznawczym *Na Dwór*. Organizatorzy proponują m.in. „obóz wędrowny dla dorosłych” z tematycznymi spacerami przyrodniczymi.

Mikropodróż jako odtrutka

W świecie, w którym wiele miejsc zostało już tysiące razy

opowiedzianych, zobaczonych i sfotografowanych, w świecie depczących sobie po piętach turystów, w świecie miejsc odległych, o których nierzadko wiemy znacznie więcej niż o swoim krajobrazie, jego zmianach, odcieniach czy zachowaniach, mikropodróż staje się odtrutką na masową turystykę, pęd czasu i brak odpoczynku. Korzystajmy więc z niej, bo jest całkowicie darmowa.

*To jest wieczór na piosenkę – pomyślał Włóczykij. – Na nową piosenkę, która składać się będzie w jednej części z nadziei, w dwóch z wiosennej tęsknoty i której resztkę stanowić będzie niewypowiedziany zachwyt, że mogą wędrować, że mogą być sam i że jest mi z sobą dobrze.*³ ♦

³ Tove Jansson, *Opowiadania z Doliny Muminków* tłum. Irena Szuch-Wyszomirska, Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 2020, s. 6.

Iwona Gałązka

O turystyce zdrowotnej, czyli las na receptę

Wyobraź sobie, że jest taka recepta, której realizacja zmniejsza odczuwanie bólu podczas zabiegu biopsji szpiku kostnego, pomaga w leczeniu bezsenności, podnosi nastrój i obniża poziom cukru we krwi. Co więcej, jest to zupełnie darmowe – wystarczy, że wyjdiesz z domu. Ta recepta to przyroda. Zapraszam cię do zielonej przyrody.

Miłość i zdrowie kwitną w Ciechocinku

Tydzień Zdrowego Kręgosłupa, basen solankowy, inhalacje i kąpiele solankowe – to tylko kilka przykładów z dzisiejszej oferty ciechocińskiego uzdrowiska nazywanego perłą uzdrowisk polskich. Ale nie zaczęło się przecież od Ciechocinka. Ślady po kąpieliskach zdrowotnych w Egipcie czy Mezopotamii liczą sobie ok. 5 tys. lat. Pierwsze uzdrowiska w Polsce, Łądek-Zdrój i Cieplice Śląskie-Zdrój, zaczęły funkcjonować w XIII w., a w XVI i XVII były już znane i doceniane poza granicami naszego kraju. Rok 1836 to pierwsze kąpiele solankowe w Ciechocinku.

Turystyka uzdrowiskowa w środowisku eksperckim obecnie uchodzi za najszybciej rozwijającą się dziedzinę turystyki. Wynika to z różnych względów: wydłużania się długości życia, trwającego procesu starzenia

się społeczeństwa czy rosnącej zamożności i świadomości zdrowotnej. Ten ostatni trend przekłada się również na coraz większy odsetek młodych osób korzystających z uzdrowisk.

W Polsce jest 45 uzdro-

Obecnie turystyka uzdrowiskowa w środowisku eksperckim uchodzi za najszybciej rozwijającą się dziedzinę turystyki

wisk, a ustawa, która reguluje ich status, pochodzi z 1922 r. Turystyka uzdrowiskowa łączy funkcje lecznictwa uzdrowiskowego z turystyczną dzięki temu, że jej ośrodki znajdują się w malowniczych, atrakcyjnych miejscowościach. To działalność nakierowana na różnorakie cele: leczenie, profilaktykę, rekreację, edukację zdrowotną czy pielęgnację zdrowia i urody. Pod kątem liczby uzdrowisk Polska aktualnie zajmuje 7. miejsce na arenie europejskiej. W czasach PRL-u, kiedy konstytucja z 1952 r. gwarantowała prawo do wypoczynku, w Polsce funkcjonowało 49 uzdrowisk, a wyjazdy do nich były finansowane przez państwo w ramach polityki zdrowotnej. Czasy świetności uzdrowisk i rekordy w liczbie kuracjuszy przypadają na lata 60. i 70. Dekadę później sytuacja znacznie się zmieniła – środki rządowe zostały drastycznie zmniejszone, a ten smutny kierunek utrzymano do 2005 r. Do dzisiejszych uzdrowisk coraz częściej przyjeżdżają kuracjusze prywatni, którzy stanowią ponad 1/3 wszystkich odwiedzających. Wprawdzie Polki i Polacy nadal mogą liczyć na dofinansowanie z NFZ czy ZUS, jednak liczba

i kwota dofinansowań spadają z każdym rokiem, przeciwnie do liczby osób korzystających z turystyki zdrowotnej, które, co ciekawe, coraz chętniej poszukują miejsc gwarantujących aktywny wypoczynek. Nic

dziwnego: badania potwierdzają, że nawet krótkie ćwiczenia w zielonej okolicy podnoszą samoocenę i nastrój.

Turystyka uzdrowiskowa, początkowo zablokowana przez *lockdown*, obecnie odżywa m.in. dzięki wprowadzeniu pakietów

dla osób po przebytej chorobie COVID-19. Tak jest np. w Ciechocinku. Celem takich pobytów jest poprawa wydolności wysiłkowej i krążeniowej, sprawności oddechowej, siły mięśniowej i ogólnej sprawności fizycznej, a także wzrost dobrostanu psychicznego dzięki możliwości nawiązania relacji z innymi kuracjuszami.

Terapia naturą

Niezwykle ciekawymi formami turystyki zdrowotnej są lasoterapia, hortiterapia (ogrodoterapia) oraz awiterapia (ptakoterapia). To interwencje profilaktyczne i terapeutyczne oparte na kontakcie z naturą. Może się wydawać, że wciąż stanowią one metody eksperymentalne

czy jedynie intuicyjne, jednak szereg badań potwierdza ich skuteczność w leczeniu wspomagającym różne zaburzenia. Przykładowo wyniki badania Maas z 2009 r. dowodzą, że im więcej zieleni w otoczeniu, tym rzadziej mieszkańcy miast zapadają na choroby układu krążenia i płuc, cukrzycę, depresję i zaburzenia lękowe. Analizy wskazują również na zmniejszone ryzyko śmiertelności z powodu chorób sercowo-naczyniowych wśród mieszkańców obszarów bardziej zazielenionych.

Istnieje wiele przykładów pokazujących relację z lasem i czerpanie z walorów przyrody, zarówno w odległej historii (szeptuchy z lasów Podlasia, celtyccy druidzi czy zachodniosłowiański żerycy), jak i te nie tak dawne. W latach 70. i 80. popularne były wycieczki do lasu na grzybobranie organizowane przez zakłady pracy. Zabierały one pracowników na integrację do Puszczy Kurpiowskiej, ale także do nadleśnictwa w Krzyżu Wielkopolskim czy do Lasów Zawadzkich w Opolskiem. Wielu grzybiarzy deklaruje, że ich pasja wzięła swój początek właśnie od wycieczek organizowanych przez ich zakłady pracy lub te, w których pracowali rodzice. W niektórych miejscach pracy tradycja ta jest nadal podtrzymywana, np. w Kopalni Węgla Kamiennego Chwałowice organizującej grzybobranie dla górniczych rodzin ze Śląska.

Innym podsektorem turystyki terapeutycznej jest awiturystyka, w której motywacje turystyczne koncentrują się wokół obserwacji ptaków. Choć ten rodzaj aktywności jest mocno zakorzeniony w historii i kulturze, to jej aspekt

terapeutyczny bada się od niedawna. Jak działa ptakoterapia? Otóż poznawanie gatunków ptaków, tj. ich charakterystyk, ubarwienia piór, śpiewu czy kształtu dzioba, rozwija funkcje poznawcze takie jak pamięć i koncentracja, a samo podglądanie tych zwierząt obniża napięcie. Osoby, które dokarmiają i obserwują ptaki, są bardziej zrelaksowane. Rozpoznawanie gatunków i różnic między nimi aktywuje system nagrody, wywołuje radość i satysfakcję. Obserwacja ptaków zmniejsza także objawy lękowe i depresyjne. Musimy jedynie pamiętać

Niezwykle ciekawymi formami turystyki zdrowotnej są lasoterapia, hortiterapia (ogrodoterapia) oraz awiterapia (ptakoterapia)

o tym, że ptakoterapia to etyczne podglądanie ptaków w ich naturalnym środowisku – w żadnym wypadku nie powinniśmy ich łapać, straszyć ani płoszyć. Chcąc coraz lepiej rozpoznawać ptasie towarzystwo, na spacer warto zabierać ze sobą przewodnik po gatunkach tych podniebnych istot.

Dzięki wynikom badań dotyczących awiturystyki dowiadujemy się również, niestety, że działania mające na celu ochronę ptaków nadal nie są wystarczające, a degradacja środowiska naturalnego stanowi największe zagrożenie dla tej formy turystyki, a przede wszystkim dla przyrody. Z uwagi na liczebność gatunków i nienaruszone ekosystemy Polska jest określana jednym z najlepszych miejsc do obserwacji ptaków. Alarmujące wyniki badań powin-

ny być traktowane z najwyższą powagą.

Awiturystyka jest jeszcze mało zbadaną dziedziną wiedzy. Katedra Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu prowadzi badania wśród mieszkańców oraz mieszkańek Poznania i okolic, sprawdzając, jak czują się oni po spacerze ornitologicznym. Do zmierzenia efektu wykorzystana będzie oksytocyna – jeden z tzw. „hormonów szczęścia”, związany z odczuwaniem spokoju i dobrostanu psychicznego. Przed i po półtoragodzinnym spacerze od badanych osób pobierany jest wymaz z jamy

ustnej, po czym porównuje się poziom oksytocyny zawarty w ślinie. Nadal można zgłosić chęć uczestnictwa w badaniu. Zachęcam do pomocy polskim naukowcom i dolożenia swojej cegiełki do lepszego poznania korzyści płynących z kontaktu z ptakami.

Innym przykładem dobrego działania natury jest hortiterapia – metoda terapii osób z różnymi dolegliwościami psychofizycznymi poprzez prace w ogrodzie. Mnogość i różnorodność tych prac – od etapu projektowania do kwitnących kwiatów, bujnej trawy i pnących się do chmur drzew – wpływają korzystnie na kreatywność oraz poczucie sprawczości, a także wspomagają leczenie depresji, nerwicy, uzależnień i chorób neurodegeneracyjnych. Coraz popularniejsze stają się strefy



Il. olcay ertem z Pixabay

sensoryczne w ogrodach miejskich i botanicznych: dotykowe, dźwiękowe, zapachowe czy ogród aktywnego wypoczynku.

Praca w ogrodzie wymaga zaplanowania czynności, determinacji, cierpliwości, ale też regularności. Ta rutyna ma swoje terapeutyczne znaczenie, ponieważ usystematyzowanie rytmu dnia daje poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Prace ogrodowe w pewnym momencie stają się rytuałami, które porządkują czas.

Nawet te leśne zapachy, które nie są dla nas przyjemne, działają relaksacyjnie

Warto wspomnieć o pewnej bakterii, którą spotkamy pracując w ogrodzie, jak również w lesie podczas grzybobrania czy zbierania ziół. Chodzi o *Mycobacterium vaccae* – glebową bakterię tlenową. Kontakt z nią przez spożycie i wdychanie ma działanie przeciwlękowe i przeciwpresyjne.

Osoby mieszkające w odległości 1–3 km od parków, bulwarów, zieleńców czy ogrodów botanicznych oceniają stan swojego zdrowia psychicznego dużo lepiej niż mieszkańcy zabudowań pozbawionych terenów zielonych. Co więcej, równy dostęp do nich w mieście może być skutecznym narzędziem minimalizowania nierówności społecznych w zakresie zdrowia, a ilość zielonej przestrzeni wydaje się ważniejsza niż poziom „miejskości”. Nic więc dziwnego, że w 2010 r. wspomniany wniosek z badań stał się oficjalnym zaleceniem Światowej Organizacji Zdrowia. W moim przekonaniu to zalecenie powinno być również

jedną z wytycznych koniecznych do uzyskania zgód budowlanych przez deweloperów, a dla gminy – kluczowym aspektem planowania przestrzennego.

Dla osób, które nie mają czasu na wyjazd do lasu lub które mieszkają daleko od ogrodu jordanowskiego i nie posiadają własnego ogrodu ani balkonu, kontakt z przyrodą może wydawać się trudniejszy do osiągnięcia. Wystarczy jednak wybrać się na spacer do dzielnicy miasta bogatej w ogrody, aby poczuć, jak

schodzi z nas stres. Odstresowującą trasę warto zaplanować na każdy dzień, w którym docieramy do miejsca pracy rowerem lub pieszo. Taką formę turystyki zdrowotnej nazywamy bierną hortiterapią.

Pełne zanurzenie w lesie

Lasoterapia czy tzw. *shinrin-yoku* (kąpiele leśne) uruchamiają węch, który – biorąc pod uwagę proces ewolucji zmysłów – określa się mianem „starego zmysłu”. To on najsilniej wpływa na naszą fizjologię. Węch ma w lesie naprawdę wiele wspaniałych rzeczy do odkrycia, takie jak fitonocydy czy olejki eteryczne. Wdychanie tych pierwszych, zwanych roślinnymi antybiotykami, działa bakterio- i wirusobójczo, a także przeciwzapalnie. Olejki eteryczne również mają te dobroczynne właściwości, a niektóre z nich potrafią zwalczyć grzyby, gronkowce czy wirusa opryszczki. Wiedzieliście, że nawet te leśne zapachy, które

nie są dla nas przyjemne, działają relaksacyjnie? Podobnie jest z dotykiem dłonią niezwyklej struktury kory drzew, delikatnego mchu czy wilgotnej ziemi. Ciało się odpręża.

Wraz z upływem tysięcy lat w porównaniu do innych zmysłów węch stracił na znaczeniu. Kiedyś to właśnie on stanowił podstawowe źródło informacji o bezpieczeństwie. W toku ewolucji prym zaczął wieść wzrok – i tak pozostało do dziś. To głównie ze niego korzystamy na co dzień, a pandemia jeszcze bardziej przeniosła nas w cyfrowy świat smartfonów, komputerów czy tabletek. Za pomocą zakodowanego cyfrowo obrazu tęczęwki (*PayEye code*) możemy już nawet płacić w sklepach. Wzrok jest jednak zmysłem, który do aktywizacji układu autonomicznego potrzebuje dodatkowego wsparcia, np. węchu lub słuchu. Bez niego kora mózgowa wprawdzie otrzyma sygnał, że zbliża się czas relaksu, lecz nasze tętno pozostanie bez zmian, ponieważ układ współczulny nadal będzie pracował na wyższych obrotach. Odwrotnie jest w sytuacji odcięcia wzroku – w lesie można zasłonić oczy opaską, a ciśnienie tętnicze krwi i tak spadnie! Kolorystyka lasu, czyli zielenie i błękity, działają na ośrodkowy układ nerwowy kojąco, podobnie jak rozproszone leśne światło. Jeśli więc odczuwamy zaburzenia rytmu snu, warto udać się do lasu na tzw. świetlny detoks. Badania pokazują, że wystarczy weekend w lesie, aby poprawić długość i jakość naszego snu.

Leśny świat dostarcza nam także doznań słuchowych, które w swojej wspaniałości pomagają się szybciej zregenerować

po przeżytych stresie. Podobnie jak zapachy, leśne dźwięki umożliwiają pełne odprężenie ciała, ponieważ aktywizują przywspółczulny układ nerwowy, a ten spowalnia pracę serca i obniża ciśnienie krwi. Efekt odprężenia możemy wzmocnić kubkiem pysznej herbaty z melisy lub mięty, nawet z cukrem, bo jego poziom we krwi las zdąży zredukować w pół godziny.

Koncepcja terapii lasem została opisana w 1982 r. przez Japońską Agencję Leśnictwa, a jej skuteczność udowodniona w XXI w. Zgodnie z europejskimi wytycznymi kąpiel leśna ma określoną strukturę, trasę, początek i koniec. Kluczowe są jednak zmysły i w każdym z nich warto się zanurzyć – skupić na odbiorze rzeczywistości tylko tym jednym zmysłem. Dzięki temu możemy odczuć, jak wiele cech lasu i otaczającego nas świata nam umyka, ponieważ jesteśmy „przyzwyczajeni”, uczeni i programowani do funkcjonowania w rzeczywistości, którą przyjmujemy głównie za pomocą wzroku. Powiedzmy to sobie szczerze: żyjemy w świecie przebudźcowania, przepracowania, przemęczenia, zaciskania zębów oraz udowadniania swojej wartości przez wydajność i efektywność. W takiej codzienności nietrudno o spadek odporności. Odpowiedzią na te negatywne zjawiska jest ponownie Jego Zieloność Las. Już kilkanaście minut leśnego spaceru podnosi odporność, a weekend w lesie poprawia ją na cały kolejny miesiąc. Las normalizuje tętno i ciśnienie oraz redukuje stres.

W tym momencie większość z was pewnie już nie ma już wątpliwości co do klinicznych danych potwierdzających

Badania pokazują, że wystarczy weekend w lesie, żeby poprawić długość i jakość naszego snu

lecnicze właściwości terapii lasem. Ale to wcale nie koniec. Kąpiele leśne, z uwagi na obniżanie poziomu napięcia oraz smutku, często polecane są jako wsparcie leczenia farmakologicznego i psychoterapeutycznego pacjentom z takimi zaburzeniami psychicznymi jak depresja, zaburzenia lękowe, zespół stresu pourazowego, bezsenność czy zespół wypalenia zawodowego. Jedno z ciekawszych badań, przeprowadzone przez Akemi Furuyashiki i opublikowane w 2019 r., potwierdza znaczną poprawę stanu psychicznego w grupie osób z tendencjami depresyjnymi (u części badanych wyniki nie odbiegały od tych z grupy kontrolnej!). Aktywność w lesie osłabia również objawy ADHD w grupie dzieci. Dzieje się to dzięki angażowaniu w proces bez konieczności celowego kierowania uwagi. Kontakt z przyrodą zmniejsza odczuwanie bólu podczas zabiegu biopsji szpiku kostnego. Lasoterapia jest też z dużym powodzeniem włączana w program leczenia onkologicznego, ponieważ przebywanie w lesie zwiększa liczbę tzw. „naturalnych zabójców” – komórek NK (*natural killers*), które mają unikalną zdolność niszczenia komórek nowotworowych lub komórek zakażonych wirusem.

W czasie pandemii na psychikę wielu osób bardzo mocno zadziałał zakaz wstępu do lasów. Wprowadzenie tego obostrzenia przełożyło się bezpośrednio na obniżenie ich dobrostanu psychicznego. Niektórzy tłumaczą to zjawisko biofiliją – potrzebą bliskiego kontaktu z naturą i organizmami żywymi, które zaspokojenie jest konieczne do uzyskania pełni zdrowia

psychicznego i fizycznego. Pandemia sprawiła, że na pewnym etapie dostęp do lasu był ograniczony, co, zgodnie z tym, co mówią psychiatry i psycho-terapeutki, miało swoje odbicie w nastrojach Polek i Polaków.

Dorośli, którzy w dzieciństwie nie mieli kontaktu z przyrodą, częściej zapadają na depresję. Z kolei dzieci, które z terenów mało zazielenionych przeprowadziły się w miejsce z większą ilością zieleni, poznawczo funkcjonują dużo lepiej niż przed przeprowadzką.

Warto wspomnieć o tym, że turystyka zdrowotna nie jest zamkniętym katalogiem i mieści w sobie wiele różnych terapii, jak np. apiterapia (terapia produktami pasiecznymi), fito- i floroterapia czy terapia dźwiękami, z których również warto korzystać.

Dla mnie osobiście zainteresowanie leczniczym, terapeutycznym aspektem kontaktu z przyrodą nie jest jedynie modą na tzw. zdrowy styl życia, a wynika wprost z przebudowania naszych ciał, które wcale nie są na to gotowe ani zaprojektowane do multitaskingu, dedlajnow, automatyzmów mających przełożyć się na efektywność, przekoloryzowanych zdjęć na Instagramie oraz podkreślonych wrażeń w wirtualnej rzeczywistości. To nie jest nasze naturalne środowisko. Potrzebujemy zwolnić, zredukować konsumpcję, wypisać się z wyścigu szczurów i wybrać się do lasu.

Chodźcie w las! ♦

Pełna lista źródeł, z których korzystała autorka, dostępna na stronie: www.rownosc.eu/o-turystyce-zdrowotnej-czyli-las-na-recepte/

Janek Gębala

Odyseja do bycia sobą

Z podróży zazwyczaj kojarzą nam się pociąg lub samolot czy hotel i zwiedzanie nowego miejsca, najczęściej w okresie wakacyjnym. Podróż nie zawsze jednak oznacza wyprawę za granicę i wypoczynek. Metaforycznie można tak określić zmiany, które zachodzą u człowieka, np. w jego psychice czy w dążeniu do odnalezienia siebie. Chciałbym przedstawić taką wyprawę, którą sam wciąż odbywam.

Transpłciowość. Temat wciąż tabuizowany i demonizowany. To przykre, ponieważ zarówno w Polsce, jak i na całym świecie osoby transpłciowe istnieją i funkcjonują. Niestety, ze względu na spore braki w ogólnej edukacji seksualnej, a zwłaszcza w temacie transpłciowości, większość z nas niewiele wie o tym, jak czują się takie osoby – przez co muszą przechodzić i jakie kroki należy podjąć, aby mogły być sobą. To tu pojawia się motyw podróży, określanej mianem tranzycji, którą postaram się przybliżyć.

Pierwszy punkt mapy

Każda osoba transpłciowa odczuwa swoje niedopasowanie ciała do psychiki w różny sposób. Choć łączy nas ta niezgodność, objawia się ona w różnych aspektach. Z tego też powodu nie ma jednego zdefiniowanego modelu tranzycji, tak samo jak

nie istnieje konkretny moment, w którym tranzycja się kończy. Ba, niektórzy wcale nie chcą się jej podejmować lub wolą ją przejść w nieznacznym stopniu. Nie mają takiego obowiązku.

Proces tranzycji dzieli się na kilka etapów. Wyróżnia się tranzycję medyczną, która obejmuje terapię hormonalną i operacje, a także tranzycję społeczną, taką jak *coming out*, funkcjonowanie jako płeć odczuwana czy też prawna korekta danych w dokumentach. Wszystkie te możliwości są punktami na mapie, które chcemy odwiedzić.

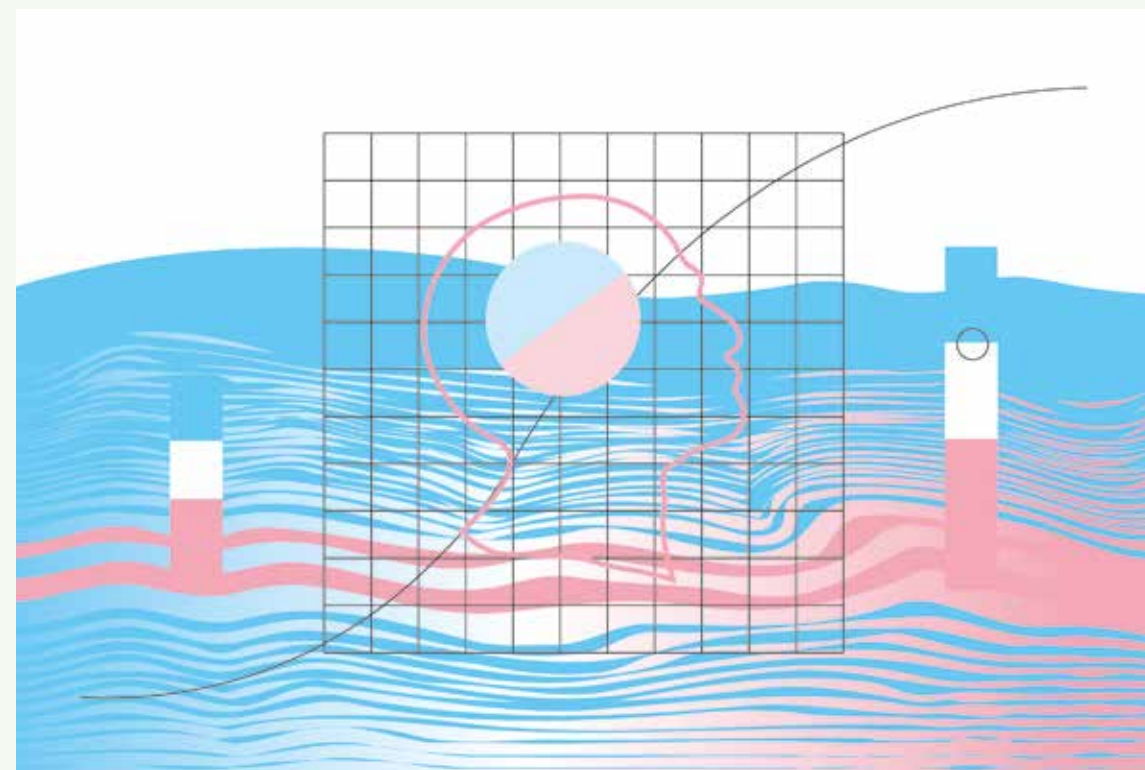
W celu rozpoczęcia tranzycji medycznej należy się udać do trzech specjalistów, którzy wystawią diagnozę i opinię: psychologa, seksuologa oraz psychiatry. Są oni metaforycznymi przewodnikami, którzy pomagają nam zbadać teren i obrac odpo-

wiednią dla nas ścieżkę, a także wskazać, którędy najlepiej będzie nam na nią wejść. Wybrawszy swoją drogę, dochodzimy do momentu, w którym ani nasi przewodnicy, ani my sami nie mamy już wątpliwości: lekarz prowadzący może nam przepisać terapię hormonalną. Z racji tego, że osoby transpłciowe nie posiadają narządów płciowych, które są odpowiedzialne za produkcję danego hormonu (na przykład transmężczyźni nie posiadają jąder odpowiedzialnych za produkcję testosteronu), terapia ta zazwyczaj trwa do końca życia. Można ją jednak skończyć wcześniej, jeśli uzyskamy zadowalające nas efekty (np. niski głos, który jest jednym z nieodwracalnych skutków przyjmowania testosteronu¹).

¹ Z tej możliwości korzystają często osoby niebinarne, które również mieszczą się w terminie „transpłciowość”.

Osoba przerywająca leczenie jest tak samo wartościowa, a zaprzestanie terapii nie umniejsza jej tożsamości.

Dalszą częścią medycznej strony podróży są operacje. Transmężczyźni mogą podjąć się trzech takich operacji: mastektomii (rekonstrukcji klatki piersiowej), histerektomii lub panhisterektomii (usunięcia narządów płciowych wewnętrznych), a także metoidio- lub neofalloplastyki (wytworzeniu penisa). Ostatnia z nich jest bardzo często pomijana i można ją przyrównać do oddalonej od cywilizacji wyspy, na którą dostanie się jest niezwykle kosztowne i niebezpieczne. Cena i komplikacje, a także ograniczony dostęp do chirurgów wykonujących w Polsce neofalloplastykę, często zniechęcają do takiej wyprawy. Ostatecznie chyba wszyscy wolą stały i pewny ląd



niż siedzenie na drewnianej łodzi podczas sztormu na bezkresnym oceanie. Bezpieczeństwo jest jedną z naszych podstawowych potrzeb nie tylko w podróży, ale i w zwykłym, codziennym życiu.

Transkobiety mają do wyboru dwie operacje: orchidektomię (wycięcie jąder) oraz neowagino-plastykę (wytworzenie pochwy). Ta ostatnia często wiąże się z wyprawą zagraniczną (najczęściej do Tajlandii), na którą decyduje się wiele osób. Można powiedzieć, że wówczas ich podróż liczy się podwójnie.

Wielka wspinaczka wśród niedogodności

Jak widać, wędrówka ta nie należy do najprostszych. Osobom, które się na nią zdecydowały, pozostaje jeszcze kwestia prawnej zmiany danych, która jest kolejnym wysokim

Nie ma jednego zdefiniowanego modelu tranzycji, tak samo jak nie istnieje konkretny moment, w którym tranzycja się kończy

szczytem do zdobycia na trasie tej eskapady. Najgrubszym murem, który trzeba przebić, jest polskie prawo stanowiące, iż uzgodnienie płci metrykalnej wymaga wystosowania pozwu przeciwko swoim rodzicom bądź opiekunom prawnym. Brzmi jak przymus porzucenia ważnego przedmiotu podczas wycieczki, prawda? Niestety bez tego dalsza wspinaczka nie będzie możliwa, a przecież osiągnięcie wymarzonego celu jest niezwykle istotne dla komfortowego funkcjonowania na co dzień. Co więcej, na tak zaawansowanym etapie tranzycji

MINISŁOWNICZEK

Osoba cis – osoba, której tożsamość płciowa jest zgodna z płcią nadaną przy narodzinach

Transpłciowość – pojęcie określające wszystkie osoby, których płeć nadana przy narodzinach nie zgadza się z ich tożsamością płciową

Dysforia – dyskomfort odczuwany przez osobę transpłciową w wyniku jej niedopasowania w aspektach płciowych

Tranzycja – proces, który przechodzi osoba transpłciowa w celu pozbycia się dysforii

Deadname – imię nadane przy narodzinach, stare imię, którego nie powinno się używać i rozpowszechniać bez zgody danej osoby; często źródło ogromnej dysforii

Niebinarność – termin określający osoby nieutożsamiające się jako kobieta lub mężczyzna

powrót może być problematyczny i raczej każdy wolałby go nie doświadczać, a podczas zdobywania szczytu polują na nas ptaki drapieżne w postaci biegłych sądowych. Owszem, można uniknąć ich ataku, ale zazwyczaj jest to niemożliwe, a skutki

oddech można złapać dopiero na szczycie, po zakończonych etapach tranzycji. Czas nie czeka – dysforia również.

Przeciwnik trudny do pokonania

A kim właściwie jest ta dysforia? Co ona oznacza? Dysforia jest kolejną przeszkodą do pokonania na trasie, choć nie spotyka ona każdego. Nazywa się tak dyskomfort pojawiający się u osób trans w wyniku niedopasowania ciała do psychiki. Głos, wzrost, klatka piersiowa, narządy płciowe, figura, fryzura – te i wiele innych aspektów fizyczności nasilają niepokój odczuwany we własnym ciele. Ciężko to zobrazować, a tym bardziej wytłumaczyć osobom cis (nietranspłciowym), gdyż słownictwo nie zawsze jest w stanie oddać nasze uczucia i stany mentalne. Można je porównać do burzy z ogromnymi, czarnymi chmurami, głośnymi grzmotami i oślepiającymi piorunami, podczas której nie mamy się gdzie schować, by móc się poczuć komfortowo, lecz stoimy na polanie przepełnieni lękiem i pró-

bujemy uciec, gdy schronienie jest daleko. Ucieczka ta kosztuje wiele wysiłku i wymaga wiele pracy. Pokrzepiające jest to, że każdy znajdzie sobie zasłonięty przed deszczem ką. A gdy już wyschniemy i znajdziemy parasol, tułaczka w kierunku odnalezienia siebie staje się znacznie prostsza i przyjemniejsza.

Przewodnicy i pałacy mosty

Podczas każdej eskapady spotykamy ludzi o różnych poglądach, doświadczeniach i uprzedzeniach. Niektórzy podadzą nam mapę i podpowiedzą, która droga jest najlepsza, a niektórzy zaoferują nawet podwózkę, posiłek lub inny rodzaj pomocy. Każdy wolałby spotykać tylko takich ludzi, ale niestety życie nie jest tak piękne, jak wszyscy byśmy tego chcieli. Wielu z nas na trasie zapewne oszukano. Mogło się też zdarzyć, że hotel, w którym zarezerwowaliśmy sobie nocleg, nie miał takiego standardu, jaki gwarantowano; że wycieczka, za którą zapłaciliśmy, się nie odbyła, a w samolocie posadzono nas w innej klasie. Frustracja i niemoc często są przytłaczające. Osoby trans czują je w wielu sytuacjach – niby błahych, ale wciąż krzywdzących. Mowa chociażby o używaniu niepoprawnych zaimków czy starego imienia (zwanego *deadname*), o próbach wmówienia im, że transpłciowość to wymysł, czy powtarzanie, że wyglądem przypominają płeć, którą nadano im przy narodzinach. Te krzywdzące słowa i czyny są bardzo demotywujące i mogą sprawić, że podróż zakończy się źle. Warto więc pomóc osobom trans: podać im mapę, nakreślić szlak i przestrzec przed niebezpieczeństwem, które mogą spotkać. ♦

Agnieszka Gruszka

Migracja to życie

W ciągu ostatnich kilku lat wielu ludzi uciekło do Europy z terenów objętych działaniami wojennymi, przed reżimem, prześladowaniem, łamaniem praw człowieka, głodem i ubóstwem. Wyzwanie migracyjne odsłoniło jednak słabości europejskiego systemu azylowego, czego skutkiem jest tragiczna sytuacja osób z doświadczeniem uchodźczym, skazanych na oczekiwanie na decyzję azylową w niehumanitarnych warunkach życiowych.

Szlak zachodniośródziemnomorski to zarówno droga prowadząca przez Morze Śródziemne do Hiszpanii kontynentalnej, jak i droga lądowa do enklaw hiszpańskich w Afryce Północnej, tj. Ceuty i Melilli. Na tym szlaku w drodze do Hiszpanii migranci

Zapewne nie ma większego niebezpieczeństwa niż zmuszanie ludzi do życia w takich warunkach jak obozy namiotowe na wyspach greckich

przemieszczają się przez Maroko i Algierię. Szlak zachodnioafrykański to z kolei droga prowadząca głównie przez Maroko, Saharę Zachodnią, Mauretanię, Senegal i Gambię, skąd następnie przez wiele dni płynie się łodziami w kierunku Wysp Kanaryjskich na Oceanie Atlantyckim. Kolejny szlak, środkowośródziemnomorski, również niebezpieczny, ciągnie się z Afryki Północnej przez Morze Śródziemnie. Jego punk-

tem przesiadkowym jest Libia, a destynacją Włochy lub Malta. Chyba najbardziej znany jest z kolei szlak wschodniośródziemnomorski, czyli trasa: Irak, Syria, Afganistan, Pakistan (i nie tylko), następnie Turcja, a na końcu Grecja, Cypr oraz Bułgaria. W 2015 r. to ta trasa była tematem numer jeden w europejskich mediach. Ostatni jej odcinek to tzw. szlak bałkański.

Przepraszam, czy to już Europa?

Fale były tak wysokie, że każdy z nas na łodzi myślał, że to jego ostatnie chwile – krótkie spojrzenie z ukosa w oczekiwaniu na moją reakcję zdradza, że Hamza nie do końca wierzy w to, iż kogoś w ogóle interesuje ta historia. Ja byłam na wyspie chwilę, krótkie dwa tygodnie. Przyleciałam samolotem i miałam tę komfortową sytuację, że znałam termin powrotu do Polski. Słuchałam historii kobiet, mężczyzn i dzieci, zasta-

nawiając się, czy nasze działania humanitarne mają jakikolwiek sens, a przede wszystkim: czy osoby, którym chcemy pomagać, tego właśnie oczekują. Hamza jest z Bliskiego Wschodu i część swojej młodości spędził na greckiej wyspie Lesbos, w Morii – istniejącym wówczas największym w Europie obozie dla osób z doświadczeniem uchodźczym. Dotarł do niego tzw. szlakiem wschodniośród-

ziemnomorskim. Kilka tygodni przed pożarem, który całkowicie zniszczył ten obóz, przebywało w nim rotacyjnie do 24 tys. ludzi, a we wrześniu 2020 r., gdy obóz spłonął, w ciągu jednej nocy 13 tys. ludzi zostało pozbawionych nawet tej minimalnej ochrony, jaką dawał namiot. Hamzy już tam nie było, bo parę miesięcy przed pożarem został przeniesiony do Aten, gdzie po kolejnych miesiącach biernego oczekiwania, bez możliwości podjęcia legalnej pracy czy nauki, otrzymał wreszcie paszport. Kilka lat zajęło mu udowodnianie, że jest uchodźcą wymagającym ochrony międzynarodowej. Dzisiaj żyje i pracuje w Niemczech – w kraju, który przyjął 1,5 mln uchodźców z Syrii. Inni nie mieli takiego szczęścia i po pożarze zostali ewakuowani do kolejnego namiotowego obozu, tj. Kara Tepe, zwanego „Moria 2.0”, zbudowanego zaledwie w 5 dni i usytuowanego pomiędzy dwoma brzegami morza.

Niedawno młoda kobieta pochodząca z Afganistanu, Maleka, która była w 8. miesiącu ciąży, w akcie desperacji dokonała samopodpalenia, ponieważ pomimo decyzji o przeniesieniu do Niemiec, lekarz zabronił jej wyjazdu z Grecji. Po przewiezieniu do szpitala w ciężkim stanie była przesłuchiwana przez policję, zaś prokurator postawił jej zarzuty narażenia innych mieszkańców obozu na niebezpieczeństwo w wyniku pożaru. Zapewne nie ma jednak większego niebezpieczeństwa niż zmuszanie ludzi do życia w warunkach, jakie panują w obozach namiotowych na wyspach greckich. Niebieskie napisy „UNHCR” (*United Nations High Commissioner for Refugees* – Wysoki komisarz Narodów Zjed-

noczonych do spraw uchodźców) na namiotach są niczym policzek dla ludzi, którzy przypluwając do „Twierdzy Europa”, marzyli o lepszym i bezpiecznym życiu na nowym lądzie. Obozy to nie domy – nie mają kluczy i nie można w nich bezpiecznie żyć.

Czy wiesz, że zaraz utoniemy?

Państwo greckie postawiło w stan oskarżenia młodego mężczyznę z Afganistanu. Podczas przeprawy przez Morze Egejskie tuż przy wybrzeżu wyspy Samos ponton, którym płynął, rozbił się o skały. Jego sześciolatek syn umarł, a ciało zostało znalezione przez straż przybrzeżną. Ojciec chłopca szukał pomocy, lecz nikt mu nie wierzy. Zarzut państwa greckiego brzmi: narażenie dziecka na utratę życia i zdrowia przez podjęcie ryzykownej podróży przez morze. Mężczyźni nie grozi do 10 lat więzienia. Na zdjęciach przedstawionych

jako dowód, że ojciec mówi prawdę, ma być chłopiec z założoną kamizelką ratunkową. Nie jest do końca jasne, dlaczego Grecja zdecydowała się po raz pierwszy na tak rażące odstępowanie rozbitków-imigrantów. To chyba pierwszy przypadek w Unii Europejskiej, w którym żyjący rodzic zostaje postawiony przed sądem karnym za śmierć swojego dziecka poniesioną w dążeniu do lepszego życia w Europie. W Turcji, która przez Unię Europejską jest uważana za kraj bezpieczny, mężczyzna otrzymał dwukrotną odmowę azylu. Oznacza to, że bynajmniej nie jest ona krajem bezpiecznym, ponieważ od pewnego czasu deportuje uchodźców do Syrii pomimo tego, że Unia Europejska od 2016 r. płaci jej w transzach 6 mld euro (plus dodatkowe 700 mln euro wypłacone wiosną 2020 r.), aby uchodźcy mieli zapewnione bezpieczne schronienie.



Il. Agnieszka Gruszka, Lesvos/Grecja 2018 r.

Współcześni piraci

Pomiędzy Libią a Włochami lub Maltą, czyli na szlaku środkowosródziemnomorskim, prowadzona jest prawdziwa wojna na morzu. Stawką nie jest jednak złoto, ale zdrowie i życie ludzi. Po jednej stronie znajdują się statki organizacji pozarządowych, a po drugiej libijska straż przybrzeżna, opłacana przez Unię Europejską w ramach umów ustanowionych w 2017 r., wraz z Unią Afrykańską i ONZ tworzącą wspólną grupę zadaniową ds. migracji. Miliardy euro kierowane w te rejony ze strony UE są opłatą za zatrzymanie migracji z krajów afrykańskich. W tym rejonie śmierć podczas niebezpiecznej podróży zdezcelowaną łodzią jest najczęstsza. Nic dziwnego, że morze nazwano cementarzyskiem. Łodzie wypływają z portu libijskiego, ale często nigdzie nie docierają. Ludzie uratowani przez takie organizacje jak Sea Watch potwierdzają historie, o których czytamy na pierwszych stronach zagranicznych dzienników: przemoc, tortury, gwałty, niewolnictwo – tego wszystkiego doświadczają osoby, które do Libii docierają. Nikt nie zostaje oszczędzony. Niektórzy wolą więc skoczyć do morza niż dać się złapać przez libijską straż przybrzeżną. Wysoką cenę płacą również pracownicy organizacji humanitarnych, którzy traktowani są jak przestępcy, a ich działalność jest kryminalizowana. Wielokrotnie słyszy się, że ich statki zostają „aresztowane” i przez wiele miesięcy dokują beczynnym w portach, podczas gdy wiele osób tonie w zupełnej ciszy.

Obozy to nie domy, nie mają kluczy i nie można w nich bezpiecznie żyć

Wakacje z dreszczykiem

W 2015 r. w przeglądarkach najczęściej wpisywaliśmy: *Uchodźcy na wyspach greckich, czy bezpiecznie jechać tam na wakacje?* W kolejnych latach tych miejsc przybywa i zadajemy to samo pytanie m.in. o Maltę,

zawsze ma wybór, czy człowiekiem pozostanie. To nie zwykli mieszkańcy stworzyli namiotowe obozowiska w swoich miasteczkach, to nie oni zmuszają ludzi do wielogodzinnego stania po jedzenie i korzystania z urągających zdrowiu sanitariatów typu toi toi przez wiele miesięcy,

Pomiędzy Libią a Włochami lub Maltą, czyli na szlaku śródziemnomorskim prowadzona jest prawdziwa wojna na morzu. Stawką nie jest jednak złoto, ale życie i zdrowie ludzi.

Sycylię czy Wyspy Kanaryjskie. Na greckiej wyspie Kos turyści zapewne nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że w głębi tego malowniczego zakątka znajduje się koszmarny dla życia obóz dla osób z doświadczeniem uchodźczym. Jak bardzo tragiczne są w nim warunki niech zobrazuje fakt, że ludzie w nim przebywający nie mogą mieć telefonów, którymi mogliby robić zdjęcia lub kręcić filmy. Dziennikarze, których w pobliżu namierzają straż graniczna lub policja, są zabierani na komisariat, a ich materiały niszczone. Unia Europejska bardzo się boi takich dowodów.

Gra, która niszczy marzenia

Trzeba jednak pamiętać, że w ostatnich latach Grecy, Włosi czy Hiszpanie nie patrzą biernie na to, co dzieje się w ich krajach, lecz są jedynie częścią gier politycznych. A w nich człowiek przegrywa prawie zawsze. Serdeczność i otwartość mieszkańców wysp okalających szlak migracyjny zostały przyćmione sensacjami, brudami i polityczną bezdusnością. Człowiek

a nawet lat. O tym decydują politycy. Musimy jednak pamiętać, że to my wybieramy tych ludzi, aby nas reprezentowali. To jedna z niewielu decyzji, które są od nas w pełni zależne i od których często rozpoczyna się zmiana.

Dalej już tylko góry, czyli spotkajmy się wszyscy na Bałkanach

W ciągu ostatniej dekady jednym z najważniejszych skrzyżowań na szlaku bałkańskim stały się Serbia i Bośnia. Rosnąca liczba migrantów w tych krajach, w takich miastach jak Belgrad, Subotica, Kikinda, Šid, Velika Kladuša czy Bihać – została naznaczona niezliczonymi formami przemocy stosowanej przez policję i tzw. straż obywatelską. Udokumentowana wieloletnia przemoc wobec osób z doświadczeniem uchodźczym na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej powoli dociera do świadomości. Tzw. szlak bałkański to, po morskiej podróży, najcięższy etap w trakcie migracji, na którym

wiele osób umiera na skutek nieszczęśliwych wypadków. Na terenach leśnych wciąż można natrafić na miny lądowe, które pozostały tam od czasów wojny w byłej Jugosławii. Niebezpieczne są też szlaki górskie i zdradliwe nurty rzek. Najbardziej jednak boli przemoc, jakiej na niewyobrażalną skalę doświadczają osoby, które zostają złapane przez straż graniczną lub policję. Do prześladowań na tle narodowościowym i wyznaniowym oraz do przemocy seksualnej dochodzą kradzieże mienia, niszczenie telefonów, palenie ubrań, brak dostępu do jedzenia i picia oraz brak możliwości skorzystania z sanitariatów. Po wielogodzinnych torturach ludzie w drodze zostają nielegalnie wydalenia z Chorwacji poprzez *push back* do Bośni lub w procedurze *push backu* łańcuchowego od Włoch po Austrię i Słowenię do Chorwacji, a stamtąd do Bośni.

Push back to nieformalne wydalenie (bez zachowania odpowiedniej procedury) osoby lub grupy do innego kraju. Sytuacja ta jest sprzeczna z terminem „deportacja”, która jest przeprowadzana w ramach obowiązującego w danym kraju prawa i zawartych między państwami umów. *Push back* to nielegalne działanie policji polegające na łamaniu przepisów i konwencji międzynarodowych związanych z prawami człowieka. *Push back łańcuchowy* jest analogiczną sytuacją, z tym że uczestniczy w nim kilka państw. Osoba, która przedostała się do Włoch przez Bośnię, Chorwację czy Słowenię i po drodze nie złożyła w żadnych z tych państw wniosku o ochronę międzynarodową, a zrobiła to we Włoszech, teore-

tycznie ma prawo w nich zostać do czasu jego rozpatrzenia. Jednak według raportów aktywistów monitorujących przemoc na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej policja włoska aresztuje taką osobę, a następnie przewozi ją do Słowenii, gdzie oddaje się ją Chorwatom, którzy nielegalnie wydają ją do Bośni. Takich historii są tysiące. *Push back* działa więc przeciwnie do deportacji, której procedura jest jawna i podczas której wydawane są stosowne dokumenty, od których można złożyć

Najbardziej tragiczne jest to, że nikt nie mówi do ludzi w drodze, każdy mówi za nich

odwołanie. Oznacza to, że każdy z krajów Unii Europejskiej, który bierze udział w tym procederze, łamie ustanowione przez siebie najważniejsze prawo chroniące osoby prześladowane, czyli tzw. zasadę non-refoulement. Odnosi się ona do wszystkich, niezależnie od statusu prawnego, i stanowi kluczowy element zakazu stosowania tortur i innego okrutnego, nieludzkiego lub poniżającego traktowania bądź karania ludzi, którzy w nieuprawniony sposób znaleźli się w danym państwie. Wspomnianą osobę, która przedostała się do Włoch i która została poddana nielegalnej procedurze tzw. wypchnięcia (czyli *push backowi*) i zawrócono do Bośni, pozbawiono możliwości rozpoczęcia ścieżki azylowej we Włoszech, a na terenie Chorwacji poddano ją torturom.

Unia Europejska płaci wiele milionów euro, aby zatrzymać

migrację na tzw. szlaku bałkańskim, skazując ludzi na życie poniżej minimum socjalnego i pozbawiając ich wszelkich praw człowieka. Pieniądże, które przekazywano m.in. Międzynarodowej Organizacji do Spraw Migracji (IOM) to według Komisji Europejskiej kwota rzędu 88 mln euro plus dodatkowe 3,5 mln euro w styczniu 2021 r., po pożarze w obozie namiotowym w przygranicznej miejscowości Lipa w Bośni. To niewyobrażalna hipokryzja. Obozy, które prowadzą organizacje partnerskie (w tym IOM) na terenach Serbii i Bośni są nieustannie krytykowane przez obrońców praw człowieka. Mimo tak ogromnego budżetu nie wiadomo w zasadzie, dlaczego w prowadzonych przez te organizacje obozach ludzie muszą spać w dwie osoby na jednej pryczy. Zdarza się, że całe rodziny, nielegalnie wydalone do Bośni lub Serbii, po powrocie muszą koczować przed obozem bądź ośrodkiem przez kilka dni, dopóki nie znajdzie się dla nich miejsce. Wynajmowane są firmy ochroniarskie, których pracownicy znęcają się fizycznie nad mieszkańcami. Całości dopełnia racjonowanie żywności oraz brak jakiegokolwiek intymności – takiej zwyczajnej, ludzkiej.

Najbardziej tragiczne jest jednak to, że nikt nie mówi *do* ludzi w drodze, lecz każdy mówi *za nich*. Wydaje się im rozkazy, traktuje jak rzeczy i przenosi z miejsca w miejsce. Mówi się do nas, ale nie o nich, tylko o „problemie”, „kryzysie”, „fali” itp. To sposób na to, aby każdy z nas czuł się lepiej – jeżeli ludzi w drodze pokaże się w takim świetle, łatwiej nam ich dehumanizować. ♦

Katarzyna Duda

Polskie opiekunki – migrantki ekonomiczne

Za naszą zachodnią granicą w charakterze opiekunek osób starszych pracuje kilkaset tysięcy Polek, a według niektórych szacunków ich liczba może sięgać nawet pół miliona. Polki w znaczącym stopniu zaspokajają zapotrzebowanie starzejącego się społeczeństwa niemieckiego na usługi opiekuńcze. Ich praca wymaga całkowitego podporządkowania się potrzebom osoby podopiecznej i niemal całodobowej dyspozycyjności. Niektóre z nich mówią wprost o doświadczaniu współczesnego niewolnictwa, jednak, jak wyjaśniają, nie mają wyboru, gdyż nie widzą dla siebie perspektyw na pracę w Polsce. Bardzo często przyczyną jest ich już do emerytury. Zamiast planować wakacje za granicą, są skazane na emigrację za pracą.

„Nowa Polka babci”

W maju 2021 r. w mediach społecznościowych w Polsce skandal wywołało zdjęcie niemieckiej firmy Procura Care, która zajmuje się zatrudnianiem opiekunek dla niemieckich seniorów. Reklamowała się ona zdjęciem uśmiechającej seniorki w towarzystwie zajmującej się nią kobiety, pod którym widniało zdanie: „Omas neue Polin” (*Nowa Polka babci*). Sekretarz stanu w Ministerstwie

Spraw Zagranicznych Szymon Szykowski vel Sęk na Twitterze skrytykował to zdjęcie: *Reklama, która uprzedmiotawia kobiety, w dodatku na tle narodowościowym, nie powinna mieć miejsca w przestrzeni publicznej.* Jak później ustalono, gdy wybuchł

Opiekunki są dodatkowo kucharkami, osobami sprzątającymi, kierowcami oraz ogrodnikami

skandal, zdjęcie było już nieaktualne, a agencja reklamowa w różnych materiałach posługiwała się kontrowersyjnym sloganem co najmniej od 2016 r. Do sprawy włączyła się również Ambasada RP w Berlinie, która zażądała od firmy usunięcia materiałów. Po tej interwencji reklama została wycofana, lecz kryjący się za nią problem nie zniknął.

Służące do wszystkiego

Tematem warunków zatrudnienia polskich opiekunek osób starszych w Niemczech zainteresowałam się podczas pracy w Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych (OPZZ), które uruchomiło dedykowany im punkt konsultacyjny. Pracowałam w tym czasie w Wydziale Międzynarodowym OPZZ w jednym pokoju z Adamem Rogalewskim i obserwowałam jego ciężką pracę polegającą na udzielaniu pomocnych porad opiekunkom. Anna Wiatr wydała w 2019 r. cenny zbiór reportaży pt. *Betrojerinki: reportaże o pracy opiekuńczej i (bez) nadziei*, w których pokazała ciemną stronę polskich agencji pośrednictwa pracy bez skrupułów wykorzystujących desperację Polek i czerpiących duże zyski z zapewnienia im zatrudnienia za granicą. Nierząd-

ko przed wyjazdem ukrywają one przed nimi informacje na temat faktycznego stanu podopiecznych – osoby, które przedstawia się opiekunkom, w rzeczywistości nie istnieją. Gdy Polki docierają do miejsca pracy w Niemczech, często okazuje się,

że podopieczni są w znacznie gorszej kondycji fizycznej bądź psychicznej od tych przedstawionych przez agencję pracy. Ponadto wykonywanie zadań wyłącznie opiekuńczych, takich jak pielęgnacja ciała, odżywianie czy pomoc w poruszaniu się, a przede wszystkim dźwiganie podopiecznych z niepełnosprawnością ruchową, na co dzień należy do rzadkości – zakres obowiązków w rzeczywistości jest bowiem znacznie szerszy. Opiekunki są dodatkowo kucharkami, osobami sprzątającymi, kierowcami oraz ogrodnikami. Jedna z Polek, która zgłosiła się do punktu konsultacyjnego OPZZ po poradę, napisała:

Umowa, którą dostałam z polskiej firmy, zawierała nieprawdziwe informacje na temat mojego zatrudnienia, a mianowicie:

1. Falszowanie czasu pracy w taki sposób, że mam wpisać go tak jak firma napisała w umowie, czyli siedem godzin na dzień. To jest nieprawda, ponieważ praca (opieka) jest 24 godziny na dobę przy podopiecznej leżącej.

2. Wstawanie w nocy po kilka razy do zmiany pieluch lub gdy jestem wzywana przez podopieczną, a także wtedy, gdy rodzina sobie zażyczy, aby w określonych godzinach wsta-

wać. Agencja nie widziała w tym problemu mówiąc, że muszę także w nocy wstawać, a jednocześnie nie mieli mi płacić za wykonywane nocne prace.

Arbeitlandia.eu, specjalistyczny portal dla osób zajmujących się opieką nad osobami starszymi w Niemczech, przeprowadził wywiady z grupą stu opiekunek na temat negatywnych aspektów pracy w domach niemieckich seniorów. 40% ankietowanych odpowiedziało, że są nimi częste wizyty rodzin osób starszych, które zwykle oczekują, że będą obsługiwane np. przez przygotowywanie i podawanie posiłków. Zdarzają się nawet przypadki przywożenia opiekunkom własnej odzieży do prania. Niedogodnością jest także to wymóg dyspozycyjności niemal przez całą dobę, a dzień wolny w tygodniu z reguły jest wykluczony. *Wychodzenie na zakupy traktuję jak przerwę w obowiązkach.*

A tak, warujemy przy nich jak psy, ubezwłasnowolnione, zamknięte – mówi z żalem jedna z bohaterek książki.

Standardem w pracy opiekuńczej jest korzystanie z zakwaterowania u swoich podopiecznych. Niewątpliwym plusem tego rozwiązania jest oszczędność na kosztach wynajmu mieszkania i wyżywienia. Jest jednak druga strona tego medalu: opiekunki minimalizują swoje potrzeby. W książce podano przykład ograniczenia czynności mycia i prania wskutek wprowadzonej przez gospodarzy reguły oszczędzania wody. W domach seniorów trudno również o prywatność. W skrajnym przypadku doszło do wymogu pozostawienia otwartych drzwi na noc w pokoju opiekunki, podczas gdy

w korytarzu paliła się lampa, zaś w trakcie kąpieli i korzystania z toalety drzwi nie mogły być zamknięte na klucz. *Żeby życie starych Niemców mogło toczyć się w miarę normalnym torem, to moje toczy się przestaje* – podsumowuje sytuację opiekunek jedna z nich.

Polki jeżdżą do pracy busami. Wyjeżdżają z Niemiec w nocy, z reguły między 3:00 a 5:00. Podróż trwa kilka lub kilkanaście godzin, w zależności od miejsca pracy w Niemczech i zamieszkania w Polsce. Opiekunki cenią sobie firmy, które oferują wyjazd do Polski w godzinach wieczornych, dzięki czemu ostatniej nocy w domu podopiecznego nie muszą spędzać na czuwaniu, aby nie zasnąć.

Rozczarowanie polskim rynkiem pracy

Historie opiekunek to nie tylko opowieści o wyzysku Polek w Niemczech, ale również o polskim państwie, które nie stworzyło im właściwych warunków do życia w kraju. Kobiety zdecydowały się na emigrację ekonomiczną z powodu górnego rozczarowania polskim rynkiem pracy. Decyzje o emigracji zarobkowej są również poprzedzane niepowodzeniami w znalezieniu jakiegokolwiek zajęcia bądź niskimi wynagrodzeniami, które w ich kraju skazywały je na vegetację. Sędziwemu wiekowi kobiet naturalnie towarzyszą schorzenia – część z nich ma w Polsce przyznane renty chorobowe. Świadczenia te, podobnie jak niskie wynagrodzenia za pracę, z trudem pozwalają związać koniec z końcem. Brak perspektywy zatrudnienia

**Tak jak
nie można
pozbawić
ludzi dostępu
do lekarza,
tak nie wolno
odcinać ich
miejscowości
od świata**

w kraju dotyczy zwłaszcza starszych kobiet, a opiekunki zwykle są już w podeszłym wieku. Za zarobione pieniądze nieraz planują dostosowanie mieszkania do swojej bliskiej starości. W 2020 r. do punktu konsultacyjnego OPZZ jedna z opiekunek wysłała wiadomość o następującej treści:

2 lipca miałam zabieg żołądka. Godzinę po wybudzeniu z narkozy zadzwoniła do mnie szefowa firmy i powiedziała, że ma dla mnie lekkie zlecenie. Powiedziałam, że jestem w szpitalu i przybliżyłam jej mój stan. Zgodziłam się przyjąć zlecenie tylko pod warunkiem, że nie będę musiała dźwigać. 5 lipca już zamówili dla mnie busa. Pojechałam. Okazało się, że podopieczną (ponad 80 kg wagi) trzeba dźwigać w ciągu

jednego dnia minimum 12 razy. Po trzech dniach byłam cała obolała. Dzwoniłam do firmy i prosiłam o zmianę. Lekceważono moje prośby. Po tygodniu zasłałam. Dzwoniłam na numer alarmowy, bez skutku. Po 3 nieprzespanych nocach (z powodu bólów i wymiotów) napisałam do firmy SMS-a. Poinformowałam, że ze względu na stan zdrowia muszę natychmiast zjechać do Polski, muszę się ratować, bo jest ze mną bardzo źle. Rano przyjechał bus i zjechałam do domu. Rodzina była poinformowana. Za 8 dni pracy ponad siły nie otrzymałam zapłaty. Zostałam oszukana i wykorzystana. Teraz czeka mnie operacja. Jest to konsekwencją tego zlecenia. Zostałam bez pieniędzy, bez pracy i mogę zostać bez zdrowia.

Sytuacje te powinny być ostrzeżeniem dla instytucji, które ponoszą odpowiedzialność za polski rynek pracy i system zabezpieczenia społecznego, zaś polskie władze powinny podjąć działania, aby powstrzymać następującą z Polski emigrację. Według prognozy Głównego Urzędu Statystycznego liczba osób powyżej 65. roku życia będzie się zwiększać. Jeśli Polki nadal będą masowo emigrować za naszą zachodnią granicę, to czeka nas problem zapewnienia opieki własnym seniorom. Interwencją polskiego rządu na zdjęcie niemieckiej firmy uprzedmiotawiające polskie opiekunki to potrzebna, lecz jedynie symboliczna akcja. Prawdziwe problemy kryjące się za reklamą – wyzysk i oszustwo, a nawet przemoc psychiczna i fizyczna – nadal pozostają nierozwiązane. ♦



Il.: Gerd Altmann z Pixabay

Równość
nr 3/2021

Wydawca
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135
stowarzyszenie.regera@gmail.com
www.rownosc.eu

Adres wydawcy:
ul. Mieszka I 4/5, 43-300 Bielsko-Biała
redakcja@rownosc.eu

nakład 2000 egzemplarzy
drukarnia: JW PROJEKT Jacek Wiśniewski

Materiał sfinansowany
przez Nową Lewicę

LEWICA

Redakcja Równość

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania
Maciej Szlinder

Autorzy/ki
Igor Budny
Katarzyna Duda
Iwona Gałązka
Jan Gębala
Agnieszka Gruszka
Michał Pytlik
Adrianna Zipper

Korekta
Marcin Jaworski
Angelika Ogrocka
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik

Projekt graficzny
Mira Larysz

Grafika na okładce
Alicja Beryt

Opracowanie graficzne i skład
Jarosław Hess

Współpraca
Dariusz Lamek-Kochanowski

Kontakt
redakcja@rownosc.eu

Więcej tekstów znajdziesz na:
www.rownosc.eu

Przeczytane? Podaj dalej!

**Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką,
dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową,
nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz
mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznamym
osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej
liczby osób!**